ŚWIAT

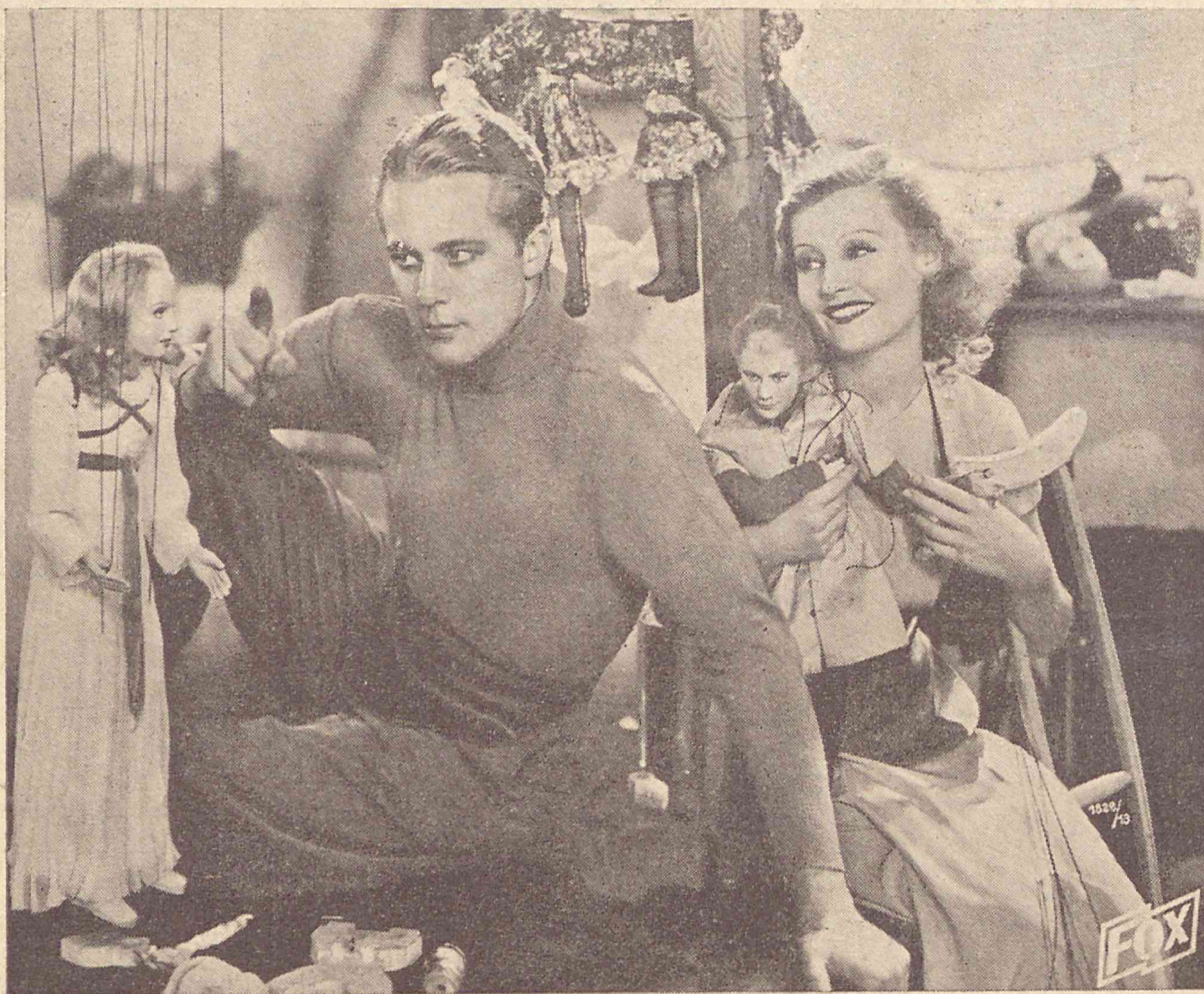
REDACKJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12

Nr. 41 13 października 1934 r.

CENA 1 ZŁ.

Na ostatnich przeszkodach sezonu





Liljana Harvey i marjonetki

Za kilka dni na ekranie kina „ŚWIATOWID", ukaże się najnowszy film wytwórni Foxa, z niezrównaną Liljaną Harvey w roli głównej pod tyt.: *„Wesoła Zuzanna"*. Atrakcją tego filmu jest obok ulubienicy publiczności warszawskiej i jej uroczego partnera Gene Raymonda, udział słynnego na całym świecie teatru marjonetek „Teatro dei piccoli", którego występy cieszyły się przed kilku laty w stolicy olbrzymiem powodzeniem.

Swego rodzaju niezrównany tercet — Liljana Harvey, Raymond i marjonetki dyrektora Podrecca, będą przez długie tygodnie magnesem, przyciągającym publiczność do „ŚWIATOWIDA" posiadającego już, jeśli chodzi o dobór obrazów, ustaloną renomę.

MŁODA GENERACJA



Pełne wdzięku lewki i tygrysiątka urodzone w Zoo w San-Francisco



Minister Barthou w uścisku z ambasadorem Chłapowskim

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 41 13.X.1934

Tragedja w Marsylji

Na ziemi Francji padł od kuli skrytobójczej Wielki Król Jugosławji, Król Aleksander, który był symbolem Niepodległości swego kraju.

Wczasie ubiegłej wojny był on wzorem męstwa na polach bojów, gdzie nie baczył na trudy osobiste jako głównodowodzący świetnej armji serbskiej. Był on głównodowodzącym, którego woli i wytrwałości w oporze nie złamały dziesięciokrotnie większe siły wroga, który nie dał się zmiażdżyć przeważającym stokrotnie siłom dział i środków technicznych nieprzyjaciela. Bronił każdej piędzi ziemi— a później, gdy szala zwycięstw przechyliła się ku Serbji, każdą piędź ziemi rodzinnej zdobywał z powrotem.

W ostatnich latach król Aleksander — spełniając program swej wytężonej pracy dla kraju, był niewątpliwym kierownikiem polityki Jugosławji. Padł w chwili, gdy w grze międzynarodowej nawiązywały się nici wielkich porozumień. Padł na ziemi jednego z najbliższych aljantów, do którego przybywał, aby dokonać nowego zaciśnięcia węzłów przyjaźni.

Podróż króla Aleksandra do Francji odbyła się *po* nieudanych kuszących zabiegach emisarjuszy niemieckich w Belgradzie i *przed* wizytą Barthou w Rzymie. W momencie, gdy zbliżenie Francji i Włoch zdawało się już być kwestją dni. W okresie, gdy jeden z niezbędnych paragrafów i warunków tego porozumienia, równoległe zbliżenie sojuszniczki Francji — Jugosławji z Włochami — miał być omówiony i psychologicznie przygotowany w Paryżu — padli obaj budowniczowie tych zbliżeń: Król Aleksander i Minister Barthou!

Wielki król i wielki mąż stanu!

Barthou wiecznie młody, wiecznie aktywny — twórczy; Barthou odnowiciel dyplomatycznej akcji Francji — padł również u boku króla — sojusznika.

Minister, który na rok przed wojną wymógł na parlamencie Francji dwuletnią służbę wojskową, dając świadectwo dalekowzroczności i przezorności; który oddał Francji jedynego syna utraconego na wojnie; który dziś po latach pracy dla kraju padł w czasie tworzenia nowej międzynarodowej siły Francji — zginął na posterunku, nietylko jako patrjota, jako bohater — zginął, jakby los chciał ukoronować go wieńcem bohaterstwa za całe życie walki i pracy dla Ojczyzny.

Oburzenie, zgroza, słowa potępienia czy przekleństw, jakie spadną na głowy morderców - skrytobójców, to objawy naturalnych odruchów sumienia ludzkiego.

Oceny następstw tego czynu zbrodniczego dziś trudno jeszcze ustalić.

Kto wie, czy na wewnętrznym terenie Francji śmierć Barthou nie stanie się, w obecnem rozdrażnieniu walk partyjnych, hasłem do nowego zespolenia i zjednoczenia sił Francji!

Śmierć ponurym reflektorem oświetliła, kto zbierałby korzyści, gdyby zainicjowane przez Barthou równoległe zbliżenie się Francji, Włoch i Jugosławji — padło również od kul skrytobójczych na ulicach Marsylji, zlanych krwią Króla Jugosławji i Męża stanu Francji. Barthou budował nowe twierdze pokoju i gwarancji. — Na drodze tej spotkał się ostatnio ze zrozumieniem i dobrą wolą Włoch i Jugosławji. Dzieło jego nie może, nie powinno zostać niedokonane. Ciężka i głęboka żałoba nie stanie napewno na przeszkodzie zrealizowaniu twórczej myśli. Żałoba ta objęła dwa bliskie sobie kraje — dwa narody. Z żałobą ich Polska cała łączy się w szczerem bratniem współczuciu i żalu.

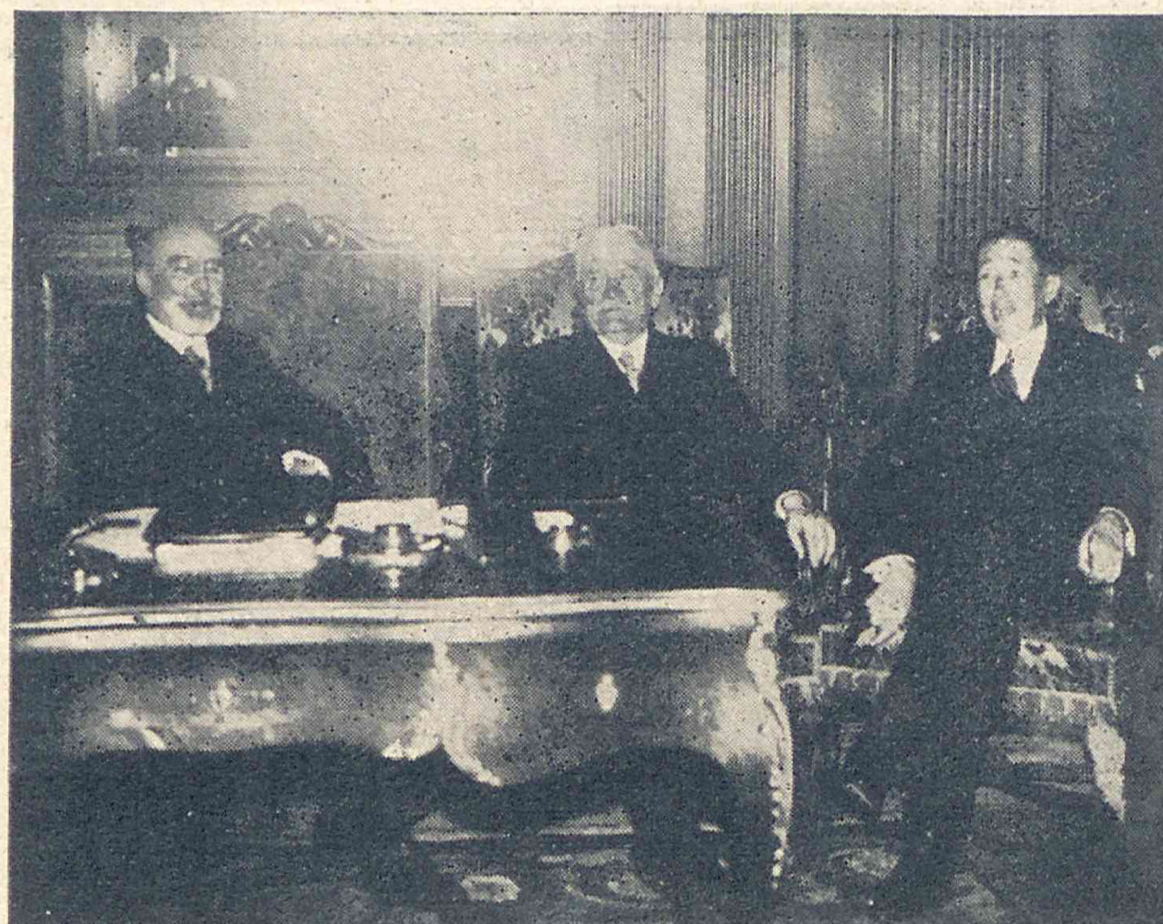
L. Chrzanowski.



Zamordowany Król Aleksander



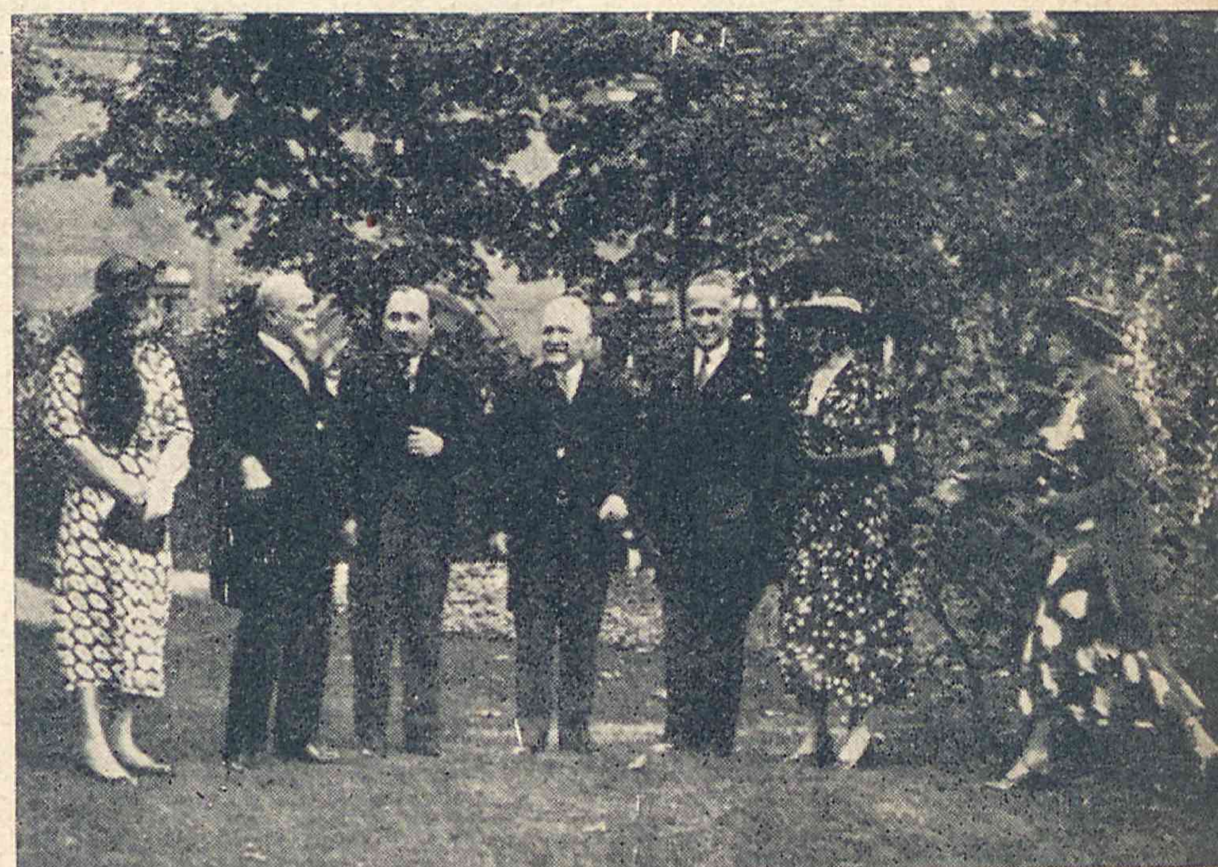
Całe życie zamordowanego ministra Barthou było niesłychanie aktywne



Barthou z prezydentem Doumergue'm i min. Titulescu



Barthou w rozmowie z Litwinowem



Barthou z min. jugosłowiańskim Jewticzem na przyjęciu u prezydenta Le Brun



Barthou z prezydentem Massarykiem i ministrem Beneszem

Przyjazd Barthou do Warszawy



JESIENNE DRZEWA W MIEŚCIE I W POLU



Fot. Wieczorek



WYSTAWA PLASTYCZEK W I. P. S.



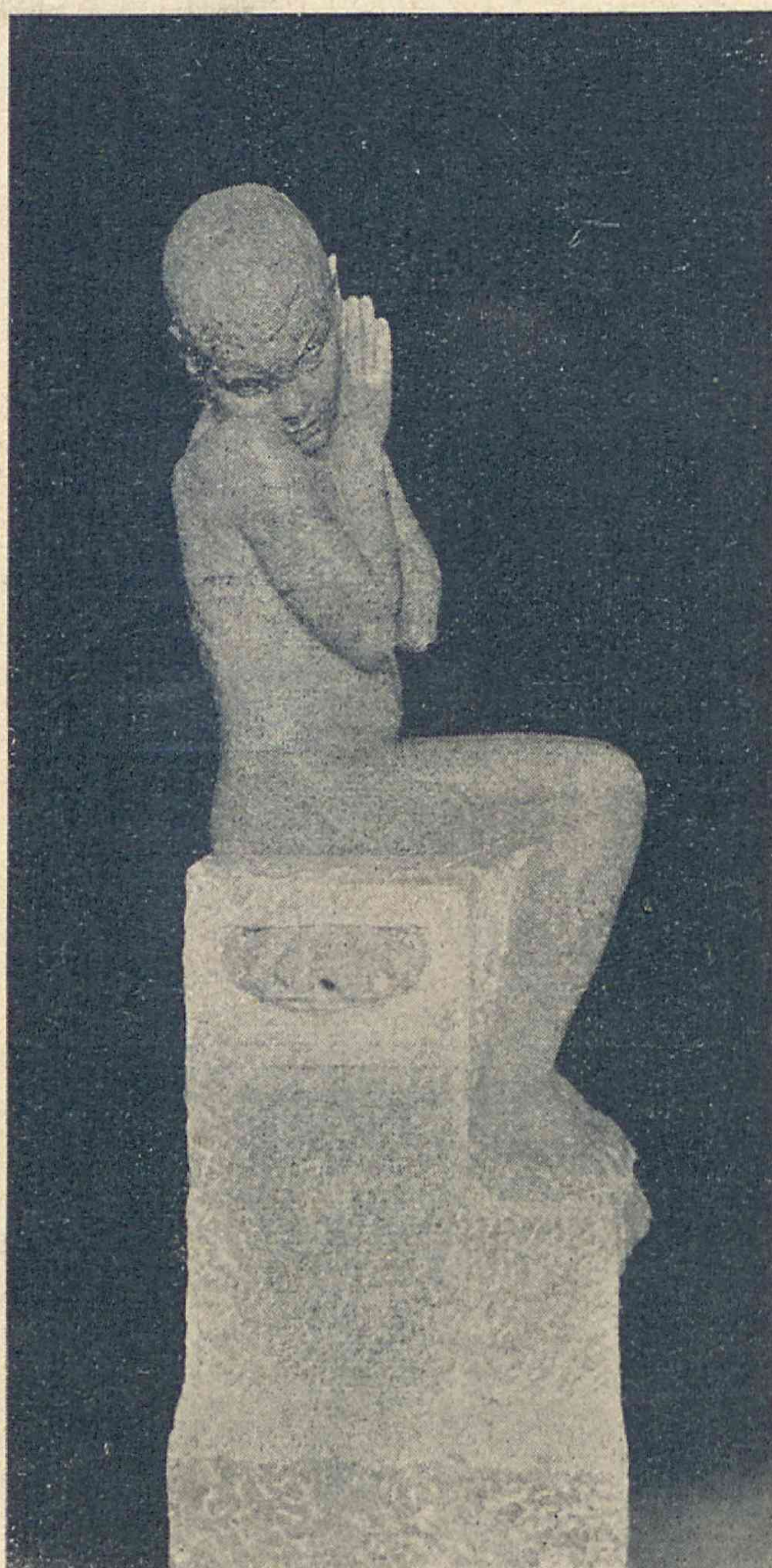
J. Konarska — Głowa

Przyznać się muszę, że nie odczuwam najmniejszego nabożeństwa do tak zwanych „manifestacji kobiecych". Wydają mi się w dobie obecnej poprostu anachronizmem. Zwłaszcza w tych krajach, które, tak jak Polska, dały kobiecie równouprawnienie i dopuściły ją do każdej działalności, nie wyłączając — teoretycznie — prawodawczej.

Odrębność kobiet uznaję jedynie w sporcie. Są słabsze fizycznie od mężczyzn — więc współzawodnictwo byłoby nie do pomyślenia. Ale sztuczne ustawianie barjer w dziedzinie kulturalnej wydaje się już dzisiaj zupełnie nie na czasie. Więcej — wydaje się sprzeczne ze swym celem. Bo jeżeli kobiety urządzają np. wystawę obrazów i rzeźb wyłącznie w swojem gronie — to możnaby przypuszczać, że istnieje jakaś „sztuka kobieca"... Tymczasem od tego pojęcia odżegnywują się głośno we wszystkich swoich enuncjacjach. Więc co je łączy? Dlaczego właśnie ten dobór, a nie inny? Chyba równie logicznie możnaby urządzić wystawę blondynów, albo kiedyindziej wystawę brunetów. Bo są to również podziały, które z kryterjami artystycznemi nie mają nic wspólnego.

Jaki jest cel takiej Międzynarodowej Wystawy, na którą Francja przysłała dzieł... 10, Czechosłowacja 12, Holandja 15, Włochy 35, Węgry 40, Anglja 25, Rumunja 25, a resztę — to jest 90 dzieł — Polska. Czy prace nadesłane w tych ilościach mogą być wyrazem odrębności duchowej *poszczególnych narodów?* A o to przecież chyba chodzi przedewszystkiem na każdej poważnej wystawie międzynarodowej.

Wielkie jarmarki sztuki wszystkich krajów znamy aż nadto dobrze. Najkonsekwentniejszy — słynna Biennale Veneziana — odbywa się stale co dwa lata i jest rzeczywiście, zważywszy rozmach



A. Paoli-Pogliani — Wodotrysk

i skalę, pewnego rodzaju przeglądem sztuki nowoczesnej całego świata. Kilkanaście pawilonów, paręset sal, kilka tysięcy eksponatów — oto są cyfry Biennale. Dają one możność rozejrzenia się jako tako w sztuce współczesnej. Ale jakie pobudki kierowały organizatorami wystawy *międzynarodowej*, na której poza artystkami lokalnemi zgromadzono 160 średniej wartości prac z zagranicy?

Przykro jest wypowiadać zastrzeżenie co do celowości cudzych, zapewne szlachetnych wysiłków. Cóż robić. Niektórzy kierują się maksymą: „Lepiej mało, niż nic". Nie podzielam tego zdania. W sztuce powinna obowiązywać zasada: „Dobrze albo wcale".

Czy można scharakteryzować całość wystawy, gdy na każdą artystkę przypada 1 lub 2 dzieła? Jest to znowu jeden z tych „salonów", którym myślący widz odmawia głębszego znaczenia artystycznego. Nie mogąc traktować poszczególnych działów jako ekspozycji całokształtu sztuki danego kraju — musimy patrzeć na zebrane w IPS-ie prace jako na zespół przypadkowy, miejscami szczęśliwy, kiedyindziej mniej udany. A że o gościach przyjemniej jest nie mówić, aby nie być zmuszonym do prawienia zdawkowych komplementów, przeto podkreślę tylko te rzeczy, które zwracają uwagę w dziale polskim.

Dydyńska wystawiła dwie jedwabne tkaniny dekoracyjne, z których srebrno - różowa jest wprost czarująca. Karpińska dała tkaniny w drobne kwiatki, zielone i czarne, obie śliczne. Keilowej puhary i rzeźby wykazują doskonałe opanowanie formy i techniki me-



J. Keilowa — Głowa

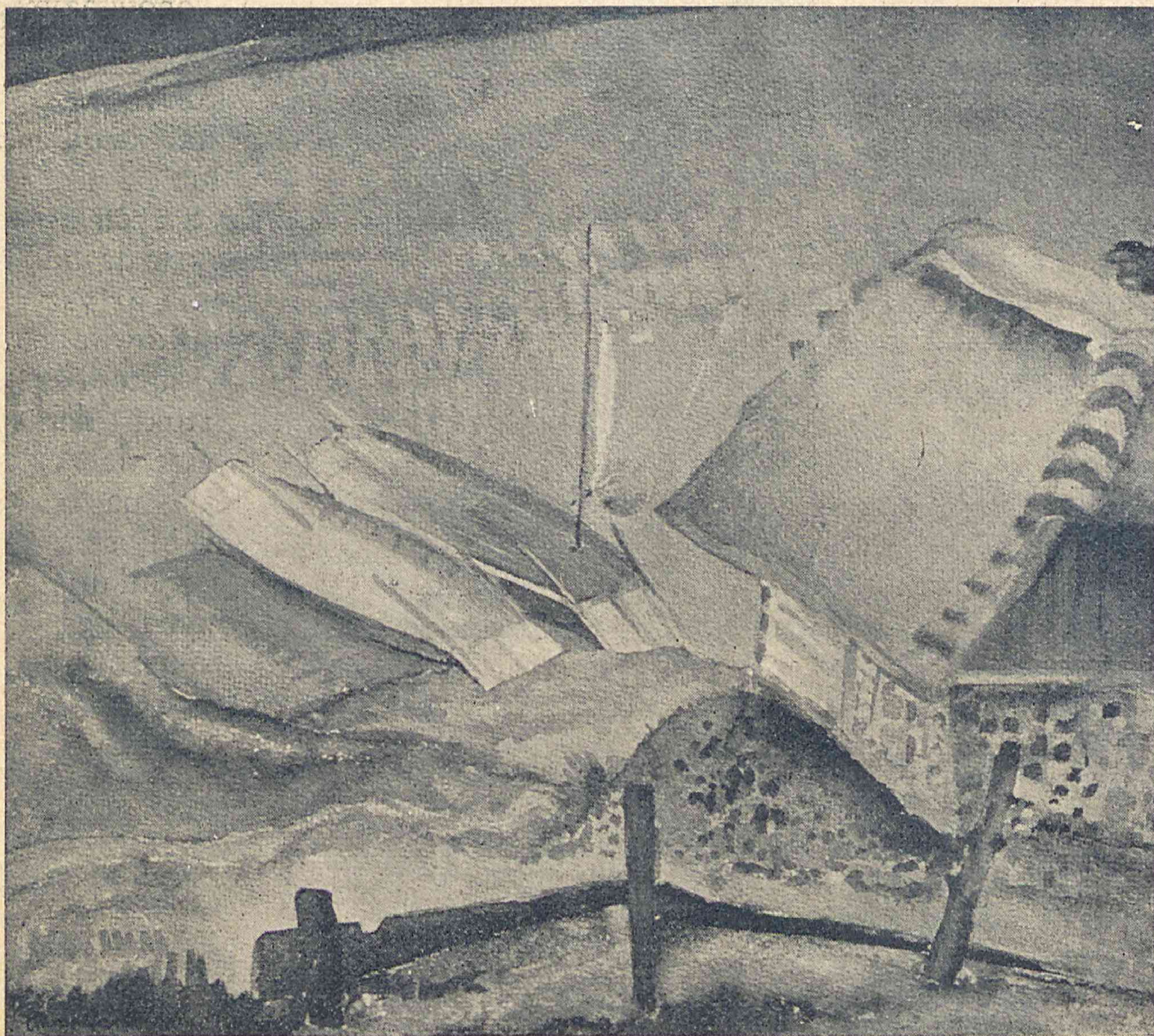
talu. Konarska dała ciekawe drzeworyty, Krasnodębska - Gardowska pejzaże pastelowe i temperą, zwłaszcza ten ostatni niezwykle świeży i czysty w kolorze. I. Lorentowicz - Karwowska wystawiła kompozycję teatralną do misterjum „Everyman" i piękne projekty kostjumów stylowych, Nitschowa skupiony pomnik Marji Skłodowskiej - Curie, Pokrzywnicka znaną już z innych wystaw „Damę z kwiatami", Siedlecka — nadzwyczaj niefortunny witraż, Stankiewiczówna nienaganne technicznie akwaforty, Telakowska dobre drzeworyty, Zachertówna dekoracyjną głowę w metalu, znaną już zresztą z wystawy w Akademji Sztuk Pięknych.

Sekcje zagraniczne wykazały nagół poprawny poziom wykonania i uderzającą wspólnotę źródła natchnienia — a jest niem Paryż.

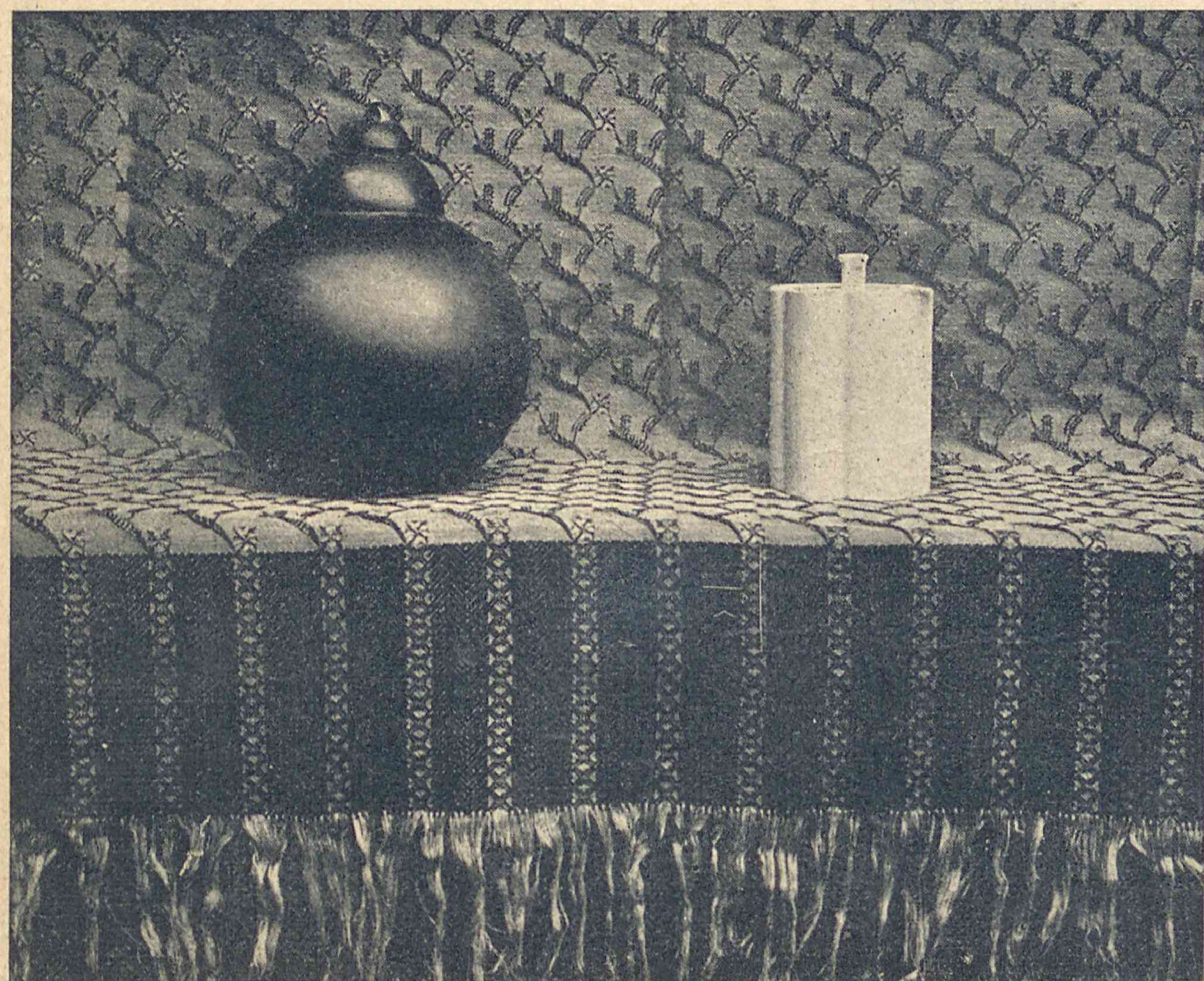
Z. Norblin-Chrzanowska



C. Coutesco-Storck — Sibiu



B. Krasnodębska-Gardowska — Łodzie



H. Karpińska — makata *W. Golakowska — ceramika*



L. Nitschowa—Pomnik Marji Curie-Skłodowskiej

ŚWIAT TEATRU

TEATR POLSKI

„Sen nocy letniej"

Przyjętym zwyczajem wypada wymienić autora sztuki. Duży kłopot. Właściwie możnaby tym razem napisać tak: „Sen nocy letniej" — karuzela śpiewno - taneczna Leona Schillera i Palestra. Libretto Szekspira, Dymszy, Kurnakowicza i paru innych. Tak zachowana kolejność poszczególnych twórców widowiska określiłaby znaczenie każdego z nich w tym spektaklu.

Autorem *tego* „Snu nocy letniej" jest przedewszystkiem Leon Schiller. I nie po raz pierwszy w swej pracy dla teatru ten najbardziej rewolucyjny z pośród polskich reżyserów poszukiwaniem nowego wyrazu nadał starej sztuce zupełnie odmienne oblicze... Oblicze, któregoby nie poznał sam pierwotny autor.

U Schillera nigdy nie wiadomo, do czego doprowadzi jego nieokiełznana fantazja, jak daleko poniesie go nowe ujęcie tematu i co zostanie ze sztuki, którą on zawsze uważa raczej za rozciągliwą „kanwę" z Commedia dell'Arte, niż za nienaruszalną, raz na zawsze zakończoną konstrukcję.

Ogromny talent Schillera, jego głęboka kultura teatralna, rzadkie poczucie sceny i jej nieoczekiwanych możliwości, połączone ze znakomitem zrozumieniem walorów muzycznych widowiska — dają w rezultacie prawie zawsze rzeczy niezwykle interesujące. Nietylko dziwne ale i po swojemu logiczne. Tylko zgóry trzeba zgodzić się na to, że z autorem reżyser obejdzie się bezceremonjalnie, że zrobi z jego sztuki co mu się spodoba.

Tak jest i tym razem. Widowisko jest naprawdę wysokiej klasy. Inwencja i praca włożone w jego realizację — olbrzymie. Ale Szekspira zostało w tem bardzo mało — a i poezja przycichła gdzieś w tych wspaniałościach. Może poprostu zagłuszył ją Mendelssohn — a może łomot sceny obrotowej...

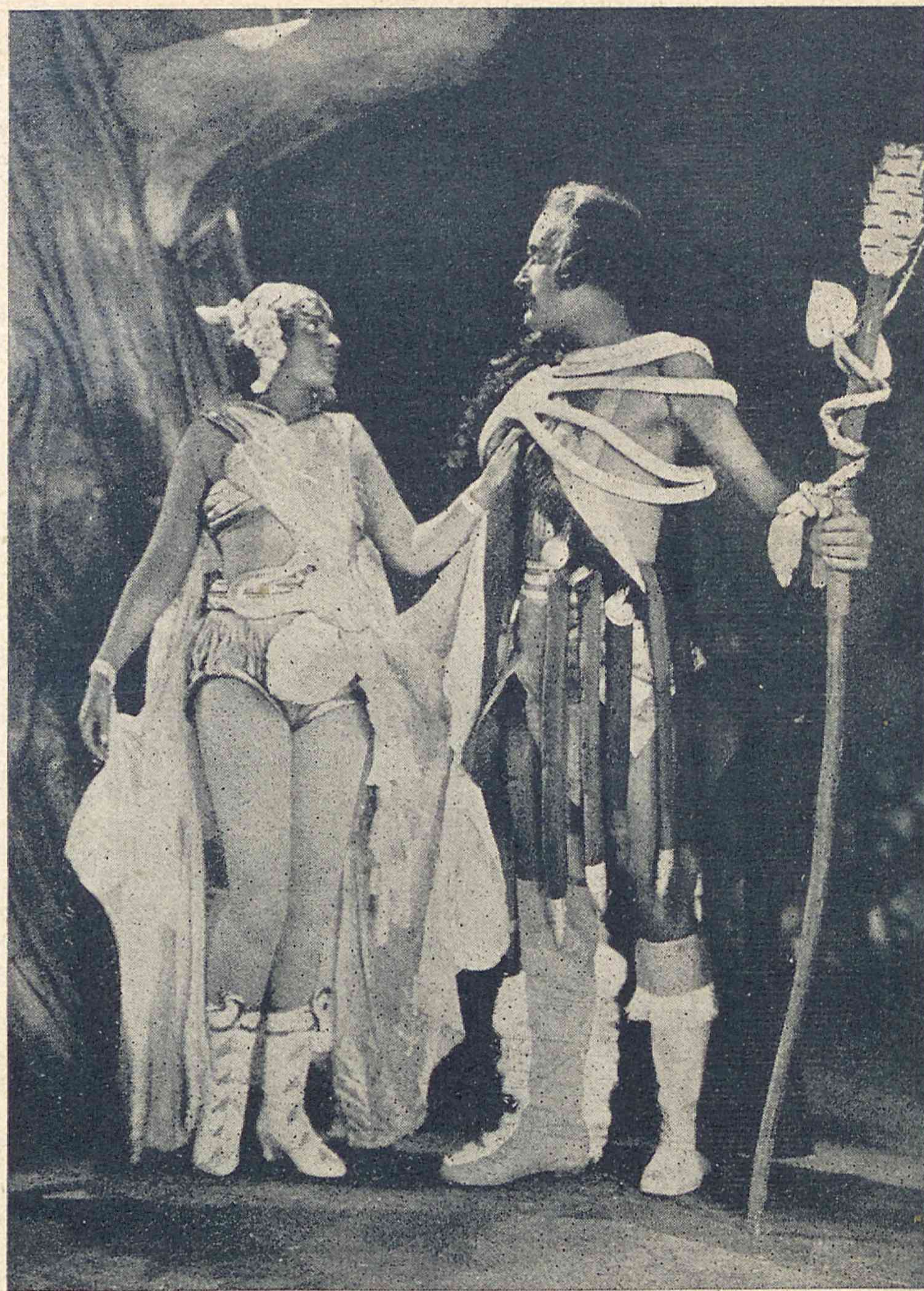
* * *

Przyszedł w obecnym sezonie istny szał na efekty wirowe sceny. Zastosował to pierwszy ubiegłego lata Węgierko w „Klubie kawalerów" — zastosował niezmiernie zręcznie, dowcipnie, jako żart świetnie zamykający drugi akt sztuki. Pomysł ten miał oszałamiające powodzenie u publiczności. Czy temu, czy tylko koincydencji przypisać należy, że już teraz w naszych oczach wszystkie sceny stolicy kołują do nieprzytomności?

Kręci się scena w Narodowym, roztańczyła się scena w „Polskim". „Sen nocy letniej" dekoracyjnie rozwiązany został w ten sposób, że przez cały czas widowiska oglądamy ciągle te same cztery drzewa — zresztą naprawdę pięknie przez Śliwińskiego wystylizowane — ale co chwila patrzymy na nie z innej strony. W tem zresztą nie byłoby nic nowego, na to przecież stworzona została scena obrotowa. Ale to bezustanne wirowanie odbywa się w oczach publiczności, co wzrokowo nuży, a po pewnym czasie wprost drażni. Podświadome współczucie dla aktorów, potykających się na tej ruchomej karuzeli, rozbija nietylko uwagę widza, ale i nastrój skupienia, konieczny dla poddania się wizji scenicznej.

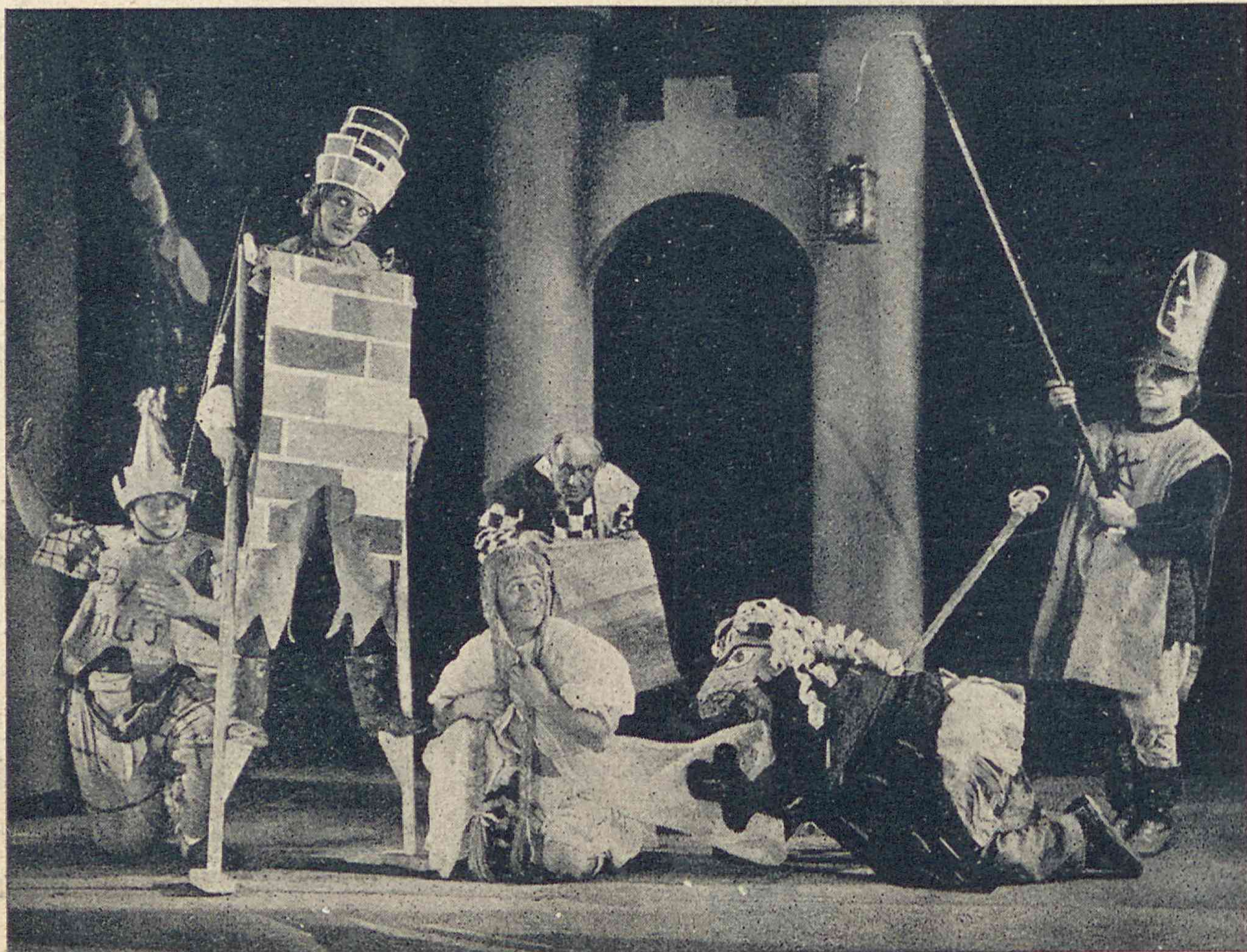
* * *

Jakie zmiany wprowadził Schiller do tekstu Szekspira i z jakim skutkiem?



„Sen nocy letniej". Tytanja — Kuncewiczówna i Oberon — Kreczmar Fot. Brzozowski

Teatr rzemieślników ateńskich w „Śnie nocy letniej". Kurnakowisz, Kondrat, Dymsza, Orwid, Chmurkowski i Borowy Fot. Brzozowski



Słusznie poskracał dłuższe tyrady opisowe, które zwalniały bieg akcji. Ale „dopełnił" Szekspira takim oceanem muzyki, że tej akcji w rezultacie bynajmniej nie przyspieszył. W dowolnem opracowaniu Palestry, i w dość nieprzekonywującem wykonaniu orkiestry i chórów — dźwięki Mendelssohna zabiły słowa Szekspira. Jak na operę — muzyka ta była zanadto zlekceważona wykonawczo. Jak na dzieło dramatyczne— było jej poprostu za wiele. Stawianie zwykłym aktorom scenicznym wymagań śpiewaczych stało się obecnie modą. Ale rzadko osiąga to efekty naprawdę artystyczne. Blado sklecone śpiewy chóralne bohaterów dość niepewne są w intonacji. A doskonały pomysł gwizdanego hasła rzemieślników ateńskich, spotykających się nocą w lesie — spalił najzupełniej na panewce. Dymsza, wiadomo, ma słuch świetny i gwiżdże jak kos. Odpowiedział mu w tonie i do rzeczy jeden z aktorów, drugi odezwał się słabo i fałszywie, trzeciemu wogóle nie wyszło...

* * *

Bardzo szczęśliwem wprowadzeniem widza w krąg osób działających i baśniowych zdarzeń było poprzedzenie sztuki mimicznym prologiem, który pięknie otworzył przedstawienie.

Schiller dał nietylko własne teatralne ujęcie Szekspira. Stworzył pozatem nowy węzeł dramatyczny i wewnątrz sztuki, interpretując po swojemu niektóre zasadnicze motywy. Więc np. zdumienie wywołuje zjawienie się na scenie milczącego młodzieńca — (granego zresztą, niewiadomo dlaczego, przez kobietę). Młodzieniec ten z woli reżysera jest powodem głębszych nieporozumień między Oberonem a Tytanją. U Szekspira wyraźnie mowa jest o *dziecku*. Tytanja mówi: „dla jej miłości syna tego chowam, dla jej miłości dziecka nie opuszczę". Schiller przetransponował ten motyw macierzyński na sensacyjniejsze uczucie starszej damy dla dorastającego młodzieńca i oto przybyła w „Śnie nocy letniej" postać, której istnienia Szekspir nie podejrzewał. Oglądamy milczącego młodzieńca w ciągu przedstawienia przy każdej okazji, a nawet całkiem bez okazji.

W polemicznem wyjaśnieniu swych intencji, które Schiller zamieścił w programie, wylicza on to wszystko, co sam nazywa ironicznie „swojemi zbrodniami". Jako jedną z nich cytuje: „zastąpienie wątpliwych dowcipów Koźmiana i Ulricha (tłumaczy sztuki, przyp. red.) — przez niewątpliwy dowcip Kurnakowicza, Orwida, Dymszy, Kondrata i t. d...."

Otóż ta „zbrodnia" bynajmniej nie byłaby zbrodnią — gdyby się była powiodła. Zarzucić jej można właśnie to, że teksty dodane obecnie wcale nie są tak bardzo zabawne, a sceny rzemieślników, choć nader ruchliwe, nie są szczerze wesołe. Zaś przedstawienie teatru ateńskich „gburów" zanadto już zostało rozwleczone, ze szkodą dla siły wrażenia.

Strona dekoracyjna widowiska, na którą położono, jak zwykle u Schillera, ogromny nacisk, ma wartość dość niejednolitą. Śpiczasta skała w centrum sceny rozbija harmonję całości i rytmiczne piękno drzew. Schodki, które na tę skałę prowadzą (potrzebne dla nieustannych pochodów ludzi, bogów i elfów), nie wydają się pomysłem plastycznym dekoratora, ale raczej niezupełnie szczęśliwą koncepcją reżysera.

Te pochody po schodach zbędne są w akcji, nie wnoszą też żadnych cennych elementów poetyckich ani wzrokowych. Stały się one dla całości przedstawienia balastem. Co więcej — natrętnie nasuwały sprecyzowane reminiscencje operowych trików, gdzie dziesięciu żołnierzy usiłuje ciągłemi marszami i przebieganiem przez scenę „robić armję".

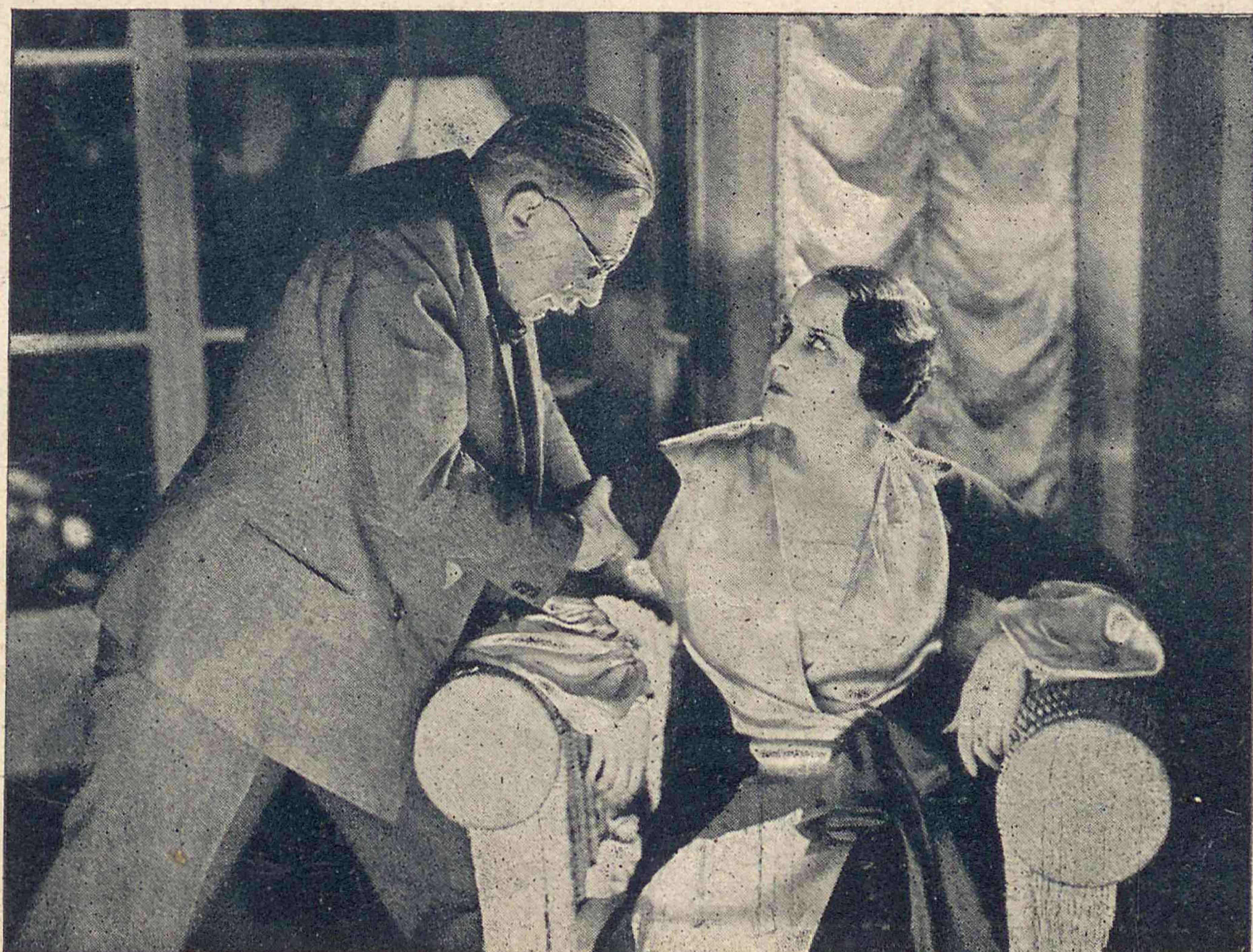
Kostjumy niezupełnie zrozumiałe i niezawsze estetyczne. Dwór książęcy w Atenach „aby uniknąć szablonu", przyodziano w stroje, które raczej przypominają wiek XVI. Ale piękna Hipolita, którą posągowo uosabia Daszyńska, ubrana jest raczej z grecka, jak na królową amazonek przystało. Elfy zupełnie niewyzyskane, jako element dekoracyjny, a Tytanji bronzowe jegerowskie trykoty, marszczące się na kolanach, przypominają właśnie staroświecką operę, wołając o pomstę do... Oberona.

Ten władca świata niewidzialnego odtworzony został przez Kreczmara z umiarem i siłą. Doskonałe warunki zewnętrzne i dźwięczny głos, coraz umiejętniej użyty, oszczędność gestu, trafność akcentowania — oto zalety, jakie wykazał Kreczmar w tej odpowiedzialnej roli. Obok niego Tytanja Ewy Kuncewiczówny wydawała się jeszcze słabsza, a głos jej jeszcze niklejszy. Poza wdzięczną aparycją nie mieliśmy niestety nic do podziwiania — miało się wrażenie, że artystka mówi z wysiłkiem, że głosowo nie może sprostać roli.

Puk Żabczyńskiej miał zasadniczą wadę fizyczną: typ tej artystki odbiega daleko od powiewności, figlarności, uosobienia przekornego wdzięku, jakim powinien być Puk. Dlatego rola ta, która zwykle w „Śnie nocy letniej" wysuwa się na plan pierwszy, tutaj wydała się drugorzędna i zgaszona.

Szlachetnych ateńczyków z książęcego dworu, obok Daszyńskiej, dostojnej w geście i słowie, a cza-

„Egipska pszenica" M. Jasnorzewskiej w Teatrze Nowym. Gorczyńska i Warnecki Fot. Brzozowski



rującej w postawie, odegrali poprawnie Socha, Norski, Borowska, Barszczewska, Łuszczewski, Wyrzykowski i Pawłowski. Największą pieczołowitość w doborze artystów wykazał reżyser przy obsadzaniu ról rzemieślników ateńskich. Kurnakowicz w roli Spodka wysunął się na czoło wykonawców. Dymsza miał swój styl groteskowy i niezawodne walory komiczne gestu i mimiki, zwłaszcza w roli słomianowłosej rozpląsanej Tyzbe. Orwid, Kondrat, Borowy i Chmurkowski odegrali żywo pozostałych bohaterów żałosnej i krótkiej historji Pyrama i Tyzby. Księżyc jednak gada o wiele za dużo. Możnaby mu z powodzeniem skrócić kwestje o połowę.

Elfy w wykonaniu baletu Wysockiej — chaotyczne. Nie wniosły one do widowiska ani piękna grup, ani harmonji ruchów. Fikanie kozłów w poprzek sceny choćby dziesięć razy z rzędu — to jeszcze nie taniec.

Reasumując — „Sen nocy letniej" w obecnej realizacji jest przedstawieniem bardzo interesującem, a jeśli nasuwa pewne uwagi i zastrzeżenia, to są to wątpliwości i sprzeciwy, które wywołuje każda śmiała twórczość.

Z. N. Ch.

TEATR NOWY

„Egipska pszenica" Marji Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej.

Sztuka ta jest klasyczną pièce à thèse. I jak każda taka sztuka, ma swoją pasję płynącą z przekonania autorki — ale także pewne skrzywienia nieuniknione, gdy idzie o to, aby życie nagiąć do apriorystycznych założeń.

Inżynier Krzeptowski ma młodą i piękną żonę. Od ślubu ich upłynęło lat pięć, a pani Ruta kocha męża z równą siłą i... egzaltacją, jak w czasie miodowych miesięcy. Inżynier jednak jest trzeźwy. Jemu już nie w głowie amory — on chce mieć dziecko. Ta obsesja ojcostwa staje się motywem przewodnim sztuki.

Pani Ruta dzieci mieć nie może. Pani Ruta dla męża nie ma więc wartości. Można deptać jej uczucie, jak można deptać jej kobiecą dumę, odsłaniając jej brutalnie swe miłostki i narzucając adoptację zrodzonego z tego stosunku syna.

Po latach kilkunastu zrezygnowana i zawsze piękna pani Ruta rozpłomienia się jesienną miłością do młodego chłopca, którego wychowała, i którego uważa za syna swego męża. Młodzieniec kocha ją również. Walczą ze swem uczuciem, dopóki los nie obdarza ich pewnością, że Soter nie jest synem Krzeptowskiego. Wtedy miłość ich rozkwita — i wydaje owoce. Inżynier dowiaduje się o wszystkiem po fakcie.

(Obojętność czyni człowieka ślepym, twierdzi autorka).

Cios, który spada na Krzeptowskiego, jest wielokrotny: zdradziła go żona, której ufał. Zawiódł go syn, którego kocha. Niepłodną nie była Ruta, co jej przez całe życie wyrzucał, lecz on sam, co jest dla niego ciosem może najstraszniejszym. A ukochany jego „syn" nie jest jego dzieckiem. Słowem — Krzeptowski zgrzeszył przeciwko miłości — i ponosi z ręki autorki srogą za to karę.

Publiczność niezupełnie wierzy w tę historję. Nie bierzemy wszystkiego tak dosłownie, i nie możemy jakoś przekonać się, że to są ludzie żywi. Pani Ruta, bierna i dobra, z niezwykłem bogactwem odcieni zagrana przez Gorczyńską, jest najbliższa człowieka prawdziwego. Postacie drugoplanowe bardzo żywe i doskonale grane — zwłaszcza Buczyńska w roli pielęgniarki i Hajduga jako stary ogrodnik. Brodniewicz miał trudną rolę człowieka, który kocha jedną tylko kobietę w życiu. Odtworzył ją dyskretnie. Papierowy Krzeptowski nie musi być przyjemny do grania. Warnecki robił nadludzkie wysiłki, aby z niego uczynić człowieka z krwi i kości. I przyznać trzeba, że mu się to w znacznej mierze powiodło. Role mniejsze zagrali poprawnie Pośpiełowski, Brzezińska i Kawińska. Zupełnie nie do zniesienia była wielka artystka, Marja Dulęba, której dano rolę groteskową, nie leżącą w zakresie jej możliwości. Ta subtelna artystka, niezrównana w cichych dramatach bez słów, nie umie być rozgdakaną kwoką, i szkoda było jej wysiłków. Reżyserja Warneckiego, wnikliwa i staranna, wydobyła z interesującej i inteligentnie napisanej sztuki wszystko, co się dało wydobyć.

Z. N. Ch.

TEATR MAŁY

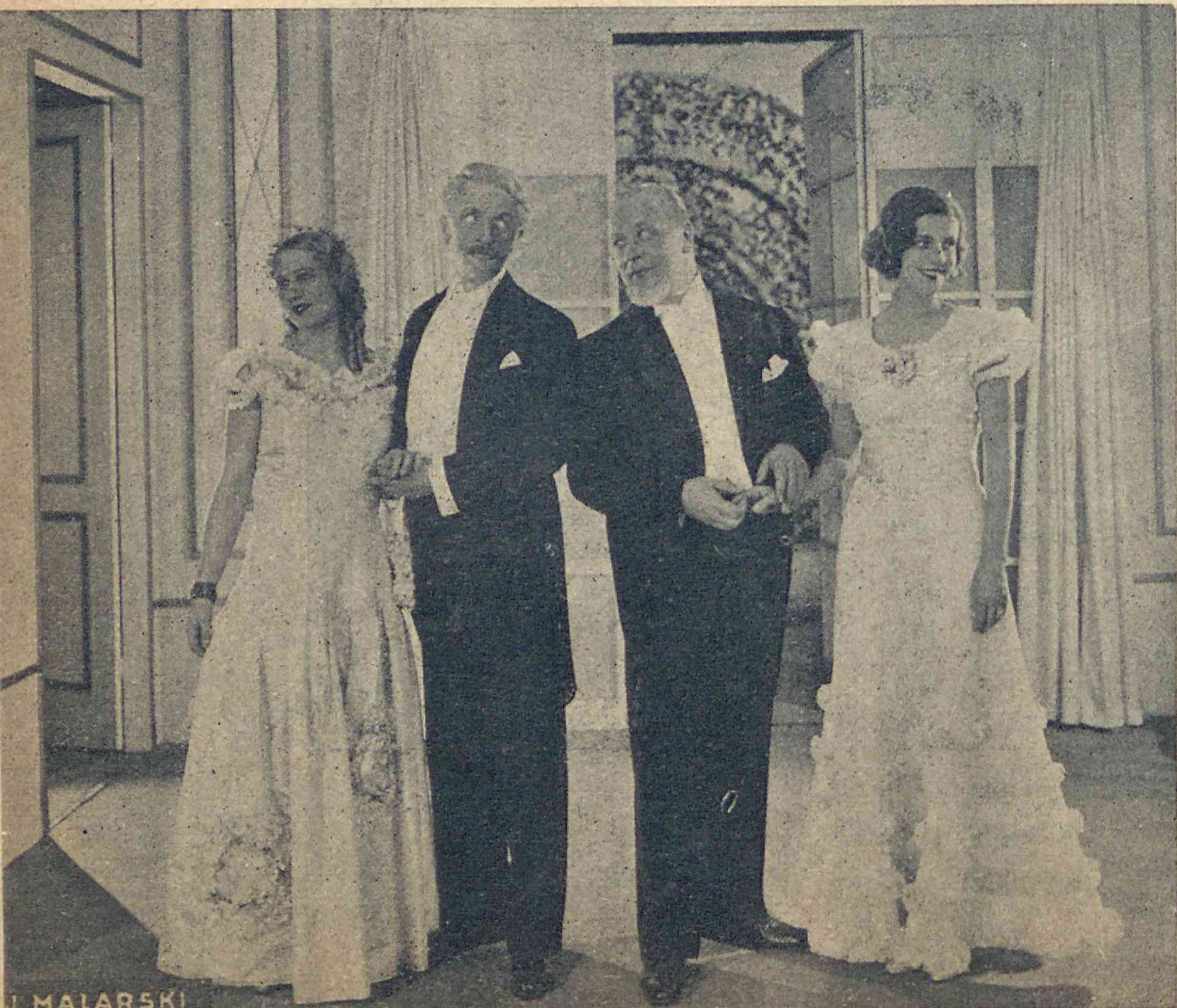
„Taniec", W. Grubińskiego. Reżyserował autor, dekoracje St. Śliwiński.

„Mon verre est petit, mais je bois dans mon verre" — mógł dawniej mówić z wrodzoną wytwornością Wacław Grubiński o swych sztukach. A publiczność chętnie brała do ręki te jego przejrzyste, misternie rżnięte kielichy — chociaż napój w nich zawarty nie rozgrzewał nikogo swą mocą. Widzowie lubili zimną ostrość blasków i estetyczną formę, dla której autor często poświęcał głębię treści.

Tym razem Grubiński nie jest sobą. Zamiast kryształowego szampańskiego puharu, w którym tak wytwornie perliła się niekiedy nawet... woda sodowa — podał nam zwykłą sobie, dość niewytworną, z mętnego szkła odlaną szklanicę do piwa. I napełnił ją napojem ciężkawym, podejrzanej marki i dość niewyraźnego smaku. A przytem — napojem zwietrzałym.

Fabułę takich fars, jak i „osobowość" postaci znamy już na pamięć. Rozerżany, pobrykujący sześćdziesięciolatek, upijający siedemnastoletnią... wychowawczynię swej córki, aby swe zaloty uwieńczyć powodzeniem, to temat ani nowy, ani zbyt interesujący, ani godny paradoksów i szlifowania go dowcipem. To też nawet pomimo żywej, dobrej gry Samborskiego i Grabowskiego w roli płomiennych sześćdziesięciolatków, pomimo pełnej wdzięku, naturalności p. Wasiutyńskiej, która w swą rolę włożyła urok impertynencji siedemnastoletniej, pomimo inteligentnego potraktowania swych ról przez pp. Sulimę, Gellównę, Grolickiego, pomimo staranności wszystkich innych artystów i wytworzenia zespołu poruszającego się we właściwem tempie, pozostało nam wrażenie dodatnie tylko dla Grubińskiego - reżysera. Autorowi lubującemu się w paradoksach, polerującemu zdania i słowa nie możemy wybaczyć, że chciało mu się polerować sytuację tak banalne i płaskie.

L. Ch.


J. MALARSKI

Starzy zalotnicy Grabowski i Samborski i niedoszłe ofiary Żeliska i Wasiutyńska

POŁÓW PEREŁ



WARTO USTĄPIĆ...

Naczelny lekarz warszawskiej ubezpieczalni — ongi Kasy Chorych — ustępując ze swego stanowiska, otrzymał na otarcie łez... 55 tysięcy złotych tytułem „odprawy".

Ile lat pracował ów dygnitarz, aby mu tak hojnie jego łzy ocierano?

3 lata. (Słownie: trzy lata)...

Taką wiadomość podaje „Gazeta Warszawska".

HAŁAS PRZESZKADZA TRAWIENIU.

Kiedy do restauracji wprowadzono „jazz" wraz z jego nieznośnym murzyńskim hałasem, były jednostki wrażliwe, które w tym harmidrze poprostu nie mogły jeść. Tym jednostkom osobniki bardziej „nowoczesne" — czyli bardziej chamskie — tłomaczyły, że jest to „przeczulenie" i „histerja".

Minęło parę lat. Dziś badania uczonych usprawiedliwiły całkowicie owych „przeczulonych".

Oto Dr. Martin przedstawił paryskiej Akademji Nauk wyniki swych studjów w tej materji. Stwierdził on — i nie on jeden — że w wielkich miastach częściej niż na wsi ludzie chorują na żołądek. Czemu? Uczony doszedł do wniosku, że powodem tego stanu rzeczy jest hałas wielkich miast, działający destrukcyjnie na nerwy żołądka. (Organ ten jest znacznie bardziej nerwowy, niżby się zwykłemu śmiertelnikowi zdawało)..

Paryż, Londyn, nawet Rzym prowadzą już oddawna walkę z hałasem. Niestety — Warszawa, posiadająca ruch stokrotnie od tych miast mniejszy, znosi swój barbarzyński hałas z baranią pokorą i fatalistycznem „niesprzeciwianiem się złu".

WARTOŚĆ REKLAMY.

Pewna amerykańska fabryka pieców i kuchen stwierdziła w roku 1933 silny spadek sprzedaży swych wyrobów. Spadek ten sięgał niemal 70%. Rozpoczęto aktywną kampanję reklamową zapomocą ogłoszeń w prasie. Skutki były zdumiewające: sprzedaż w ciągu kilku miesięcy wzrosła o 283% w stosunku do tegoż okresu z roku poprzedniego!

Dom towarowy „Wanamaker" w New - Yorku podaje do wiadomości, że ogłosiwszy *raz jeden*, iż posiada na sprzedaż obuwie po 2,25 dol. za parę, sprzedał b. dużo. To też przemysł i handel zagranicą na reklamę w prasie wydają sumy fantastyczne, które się świetnie opłacają.

A u nas?

U nas, gdy „zastój i kryzys" — firmy handlowe uważają, że „ogłaszać się nie warto". I czekają z założonemi rękami na klijenta, który do nich napewno nie pójdzie. Pójdzie do konkurenta z przeciwka, bo tamten, sprytniejszy, właśnie w czasie kryzysu ogłasza się dziesięciokrotnie więcej, niż w czasach dobrej konjunktury.

ROZESZŁO SIĘ PO KOŚCIACH...

Warszawa jest miastem brudnem, to wszyscy wiemy. Polska jest jednym z najbrudniejszych krajów na świecie — to wie każdy z nas, kto choć trochę wytknął nos za granicę. Cóż, kiedy Polakom z tym brudem widać przyjemnie.

Oto zaprojektowano w stolicy propagandowy „Tydzień czystości" — do najwyższego stopnia pożądany... Niechby choć trochę ludzi nawrócił na wiarę szczotki, mydła i kąpieli — jużby miał wielkie zasługi.

Przygotowania były, artykuły w prasie były, zapowiedzi były...

A potem się rozmyślono, i odłożono całą fetę... do Wielkiejnocy.

Widać na zimę czystość uznano za zbytek.

VOX POPULI.

Mieszkańcy wsi Bobry pod Wilnem przyłapali jednego z chłopów na gorącym uczynku podpalania. Pożar groził całej wsi. Doprowadzeni do wściekłości gospodarze ukarali zbrodniarza doraźnie: rękę, która podpaliła — spalili.

Powiecie: nieludzkie?

Powiecie może: barbarzyństwo?

Ech, kto wie, czy szerząca się nagminnie epidemja podpaleń w Polsce nie skończyłaby się w ciągu paru dni, gdyby każdemu podpalaczowi groziła właśnie taka kara...

Kulturę, zwłaszcza zapóźnioną, często trzeba ludziom wszczepiać — strachem. Najuczciwszy kraj na świecie Szwecja, kraj, gdzie dzisiaj kradzież wśród autochtonów nie istnieje, bynajmniej takim nie był zawsze. Ale znalazł się w pewnej chwili surowy prawodawca, który postanowił: za kradzież jedna tylko kara — odrąbanie prawej ręki.

Pomogło, jak nożem uciął...

OBIECUJĄCA MŁODZIEŻ.

„I. K. C." podaje wiadomości o dziwnym kierunku, który toleruje wśród młodzieży Gimnazjum im. Karola Chodkiewicza w Lidzie. „Rozwydrzenie seksualne w tem koedukacyjnem gimnazjum ma być rekordowe. Kradzieże i bijatyki w gmachu szkoły są na porządku dziennym. W lutym r. b. skradziono z kancelarji gimnazjum kilkaset złotych, a po zabawie uczniowskiej przepadł w szkole cenny kilim. W parę dni potem kilku uczniów wdarło się do kooperatywy osadników i skradło za kilkadziesiąt złotych słodyczy. Jeden z uczniów napadł na urzędniczkę Banku Rolnego i chciał ją obrabować. Młodzież ta — rozczulająca „przyszłość narodu" — bawić się umie tylko w stanie nietrzeźwym. Hasło „Używać, póki czas" jest tam znacznie popularniejsze od nauki.

A co potem?

Potem taki obiecujący młodzieniec — choćby nie tam, ale gdzieindziej czerpał równie wzniosłe zasady życiowe — zdolny jest mordować dla rabunku bez chwili wahania. Studenci Akademji Krakowskiej, bynajmniej nie nędzarze, układają na zimno plan; mordują Bogu ducha winną służącą i rabują.

Skazuje się tych najohydniejszych zbrodniarzy na śmierć? — Gdzietam! Dostają 10, 12 lub 14 lat więzienia. Potem może będzie jakaś amnestja, albo sobie zdolni chłopcy wykombinują ucieczkę — i zdążą jeszcze „użyć życia".

LEONARD TOMASZEWSKI

KAJAKIEM PO GRANICY LITEWSKIEJ



...jesteśmy u kresu naszej lądowej wędrówki...

Wigry, Narocz, jeziora Brodnickie lub Augustowskie — oto nazwy powszechnie znane. Któż jednak poznał lub chociażby słyszał o jakiemś tam jeziorze Dringis?

Należy ono do zespołu kilkudziesięciu jezior, których część została oddzielona granicą litewską. Inne są po stronie polskiej i tworzą wielki zbiornik wody, zasilający Żejmianę (prawy dopływ Wilji).

Wieczorem wyjeżdżamy z Warszawy, a o 10-tej rano wysiadamy na niewielkiej stacyjce Ignalino, położonej na linji Wilno — Zemgale i ruszamy furmanką ku miasteczku Połusze.

Już po kwadransie podróży jesteśmy dokładnie poinformowani o wszystkich szczegółach życia tych okolic przez naszego woźnicę, który z elokwencją wyjaśnia sens i ukrytą wartość otaczających nas zjawisk.

Przed oczyma roztacza się prześliczny krajobraz: kilka mniejszych jezior, górki, pokryte sosnowym lasem, a pomiędzy niemi meandry rzeczki wśród łąk i kwiecia. Mijamy niewielkie jezioro, obok brzegu widnieje tablica „Jezioro Gawis— głębokości 70 mtr."

Wreszcie zjeżdżamy z wysokiej góry i już jesteśmy w Połuszu, u kresu naszej „suchej" wędrówki. Miasteczko składa się z kościołka i kilkunastu chałup, przykrytych przysadzistemi strzechami, a otoczonych ogródkami, pełnemi mięty i słoneczników. Woźnica dostaje umówione dwa złote za pięciokilometrową trasę, prosi i dostaje jeszcze 50 groszy „na sierotę, co to musi po bracie chować". Wzruszony tą sumą niespodziewanie usiłuje pocałować mnie w rękę...

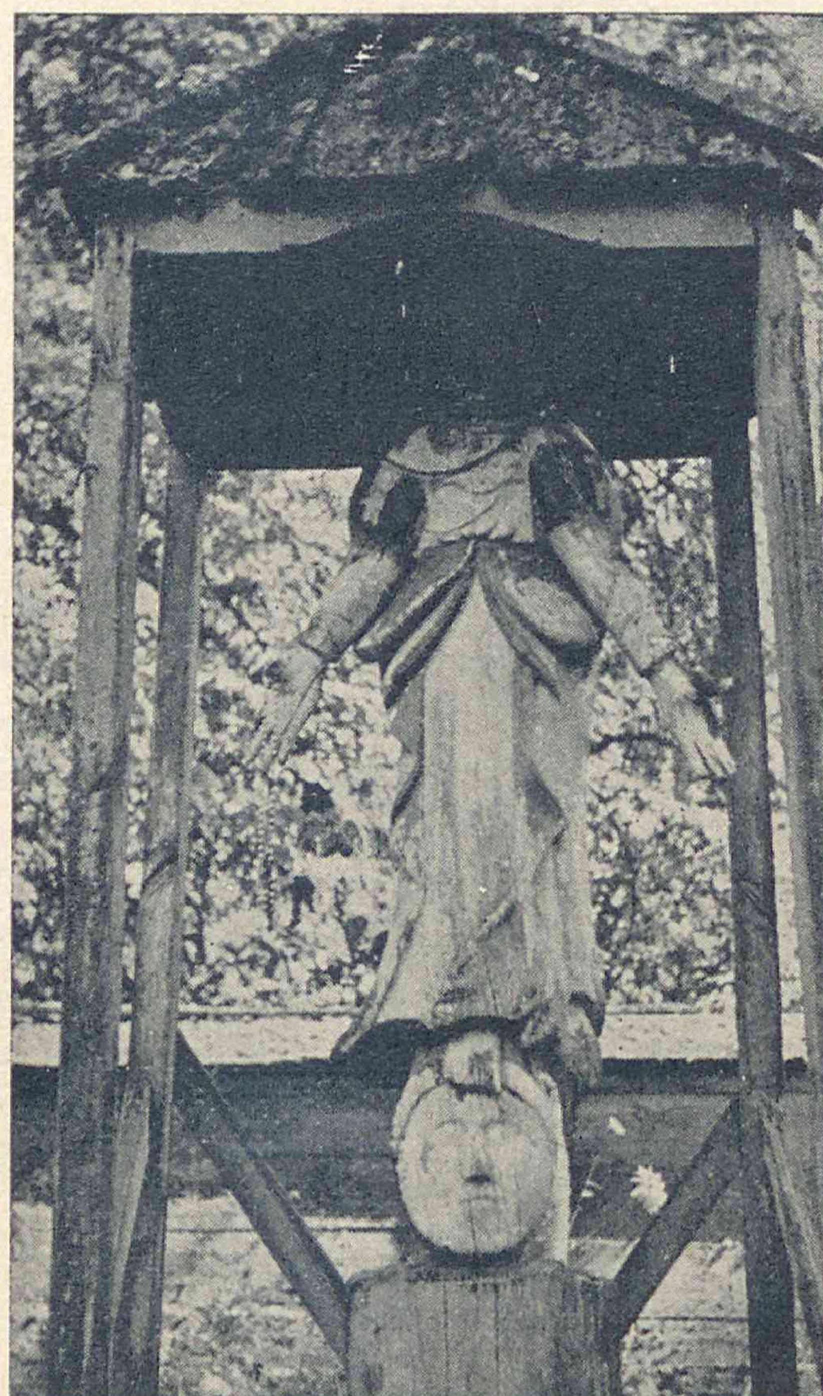
W pół godziny potem, składak nasz już jest na wodzie.

Idę obejrzeć miasteczko, o którem słyszałem wiele w młodości, gdyż na „festy" zjeżdżało tam podobno aż 30-tu księży. Spotyka mnie kompletna niespodzianka. Pojęcie „miasteczko" jest względne. Gdzieindziej ten zespół kilku chat, nie posiadający ani jednego bodaj sklepika, nie byłby nawet wioską. Tutaj jest nadal tytułowany „miasteczkiem".





Kościołek jest godny widzenia. W harmonijną całość zlały się pucołowate figurki aniołów, małe organy na wykrzywionych chórach oraz parę chorągwi z czasów przedrozbiorowych.



Głowa pod stopami figury może oznaczać księżyc, ale najpewniej jest bożkiem pogańskim

Lecz najciekawszą osobliwość Połusza stanowi stara drewniana figura na cmentarzu, prześliczny okaz snycerki ludowej. Niewielkich rozmiarów posąg posiada nieproporcjonalnie wielką głowę, o dużych, zdziwionych, a zarazem dobrych i niezwykle smutnych oczach.

Zmurszałe ręce odpadły, lecz zostały ponownie niefrasobliwie umocowane na gwoździe. Coprawda rekonstrukcja jest przeprowadzona w sposób niezbyt ścisły, bo wskutek zniszczenia ramienia łokieć został przybity bezpośrednio do barku... Jednak cóż to szkodzi? I tak jeszcze ręce są o wiele za długie.

Siedzę w cieniu cmentarnych lip. Drzemią zamarłe w znoju upalnego południa drzewa i ptaki. Lecz w pewnym momencie z poza drzew cmentarza wdziera się warkot samolotu, zakłócając ciszę. Po zmurszałym goncie dachu kościoła i dzwonnicy przebiega szybko cień trzysilnikowego Fokkera, lecącego z Wilna do Rygi....

Wreszcie odbijamy na jezioro. Po go-

Przy kościele wyrasta przysadzista dzwonnica



dzinie drogi jesteśmy na wąskiej rzeczce. Melduję się na strażnicy KOPu w Mejranach i uzyskuję od sierżanta zezwolenie na odwiedzenie sąsiedniego jeziora Dringis (największego z całej grupy) wraz z pouczeniem, żeby się możliwie daleko trzymać od brzegu litewskiego i nie lądować na wysepkach, przez które przebiega granica.

Płynąc dalej rzeczułką, mijamy jeszcze jedno małe jezioro. Na brzegu pasie się stado krów. Wnioskuję z mapy, iż te ciemne krowy są jeszcze na polskim terenie, ale tamta łaciata i pies niewątpliwie już przekroczyły granicę...

Przez sitowie wyjeżdżamy wreszcie na taflę rozległego jeziora. Lewy brzeg litewski jest pokryty wysokim lasem sosnowym — prawy polski, niższy, pokryty przeważnie łąkami i polami. Po wylądowaniu nocujemy w jednej z zatok.

Nad ranem słyszę męskie głosy. Do namiotu podchodzi patrol KOPu. Powołuję się na zezwolenie sierżanta. Żołnierze salutują, oglądają składak, odwrócony do góry dnem i idą dalej.

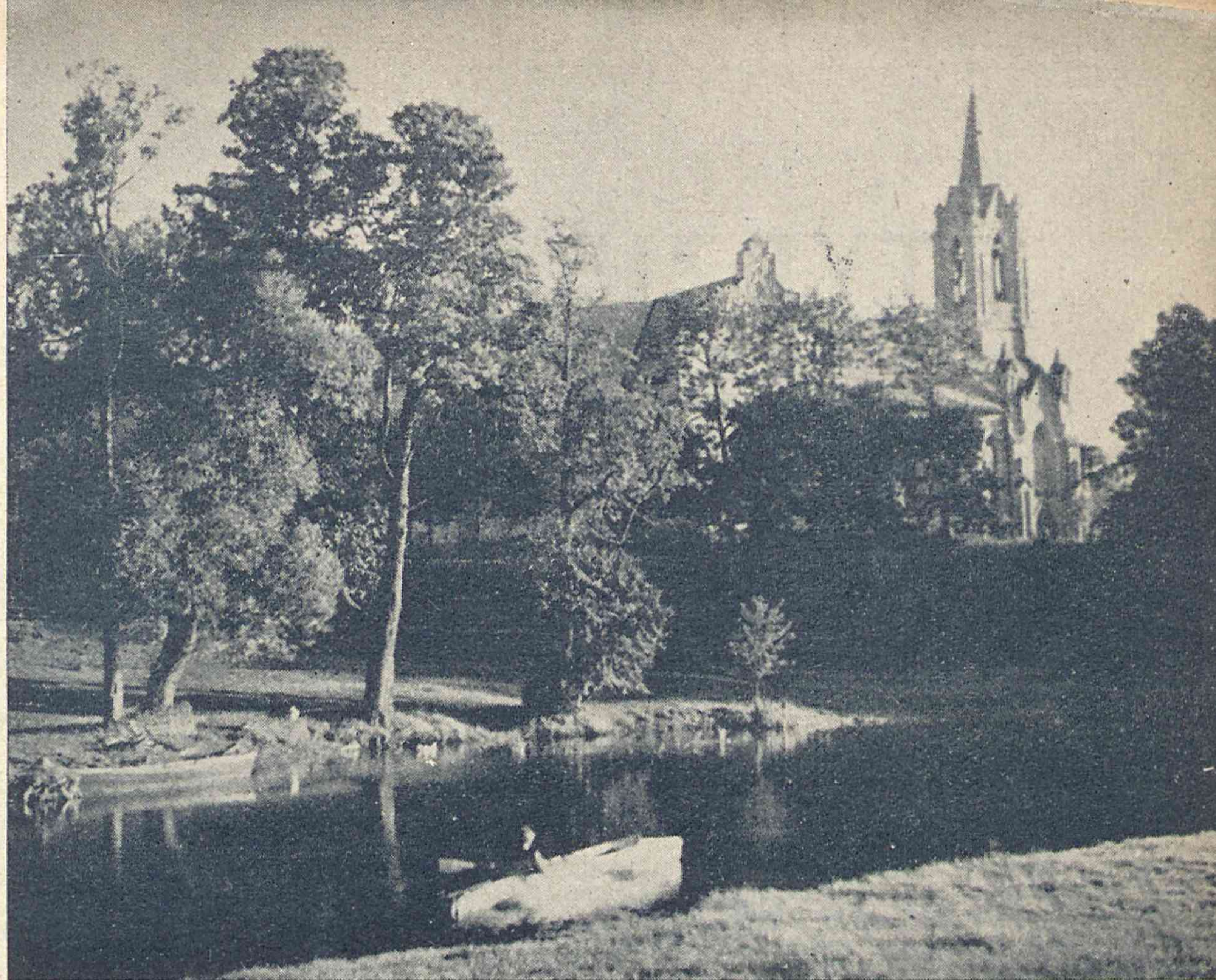
Rano wyruszam uzupełnić zapasy i docieram do pobliskiej wioski. Kupuję jajka po 3 grosze, mleko po 10 groszy za litr, a „bulbę" (ziemniaki) otrzymuję zadarmo, bo niema na czem zważyć, a „jakże brać pieniądze bez zważenia"...

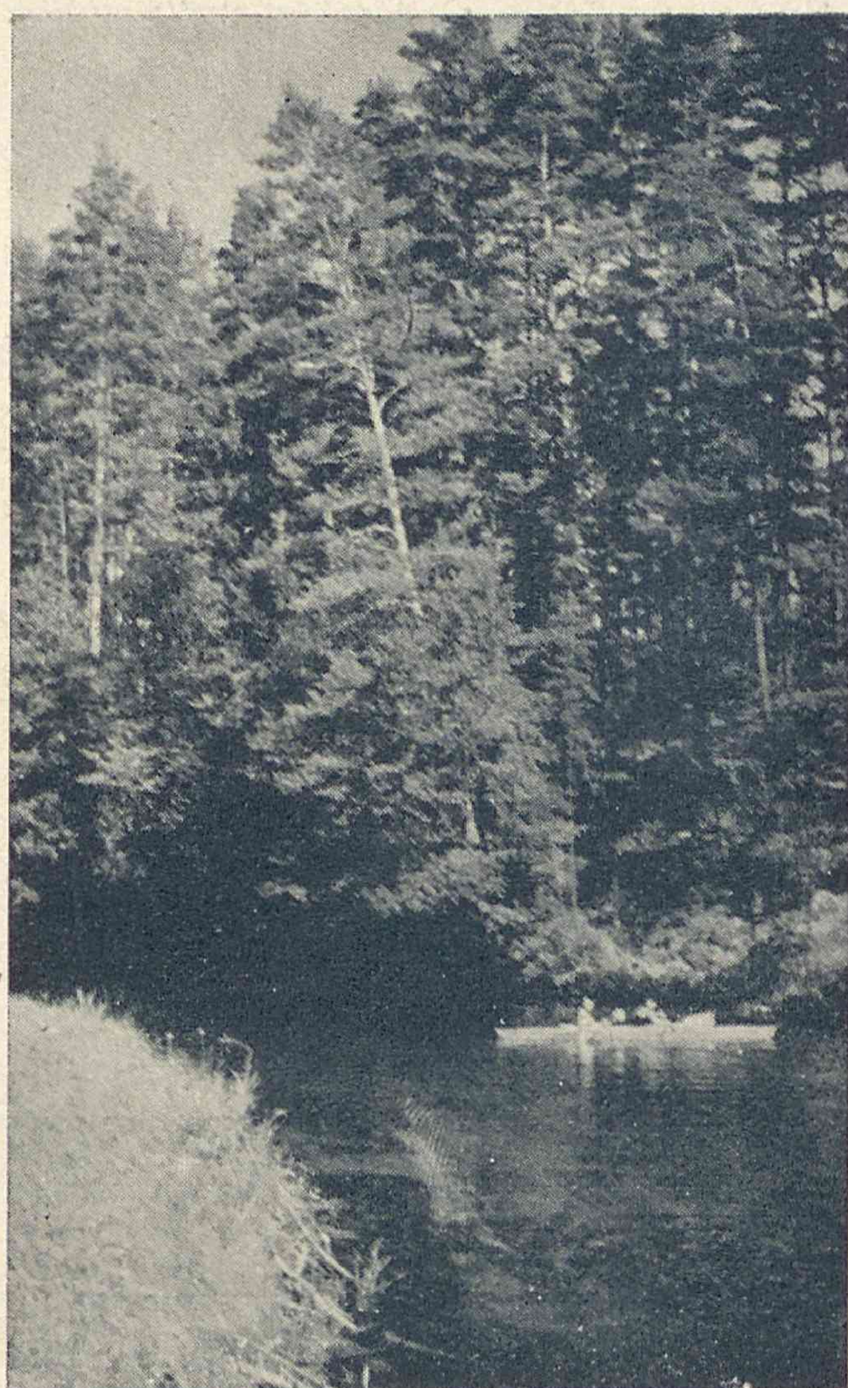
Ruszamy z powrotem na jezioro Łusze, a potem na jezioro Szakarwia, stanowiące jego ramię południowe. W ciągu całego prawie dnia płyniemy prześlicznemi, długiemi, lecz stosunkowo wąskiemi jeziorami, o górzystych, zalesionych brzegach i licznych odnogach. Droga niezmiernie przypomina jeziora Finlandji lub fjordy i jeziora Mälar w okolicach Sztokholmu. Wreszcie przed zachodem słońca wpływamy w rzekę Żejmianę i jesteśmy w niewielkiem miasteczku — Kołtynianach.



...zbliżamy się do Kołtynian...

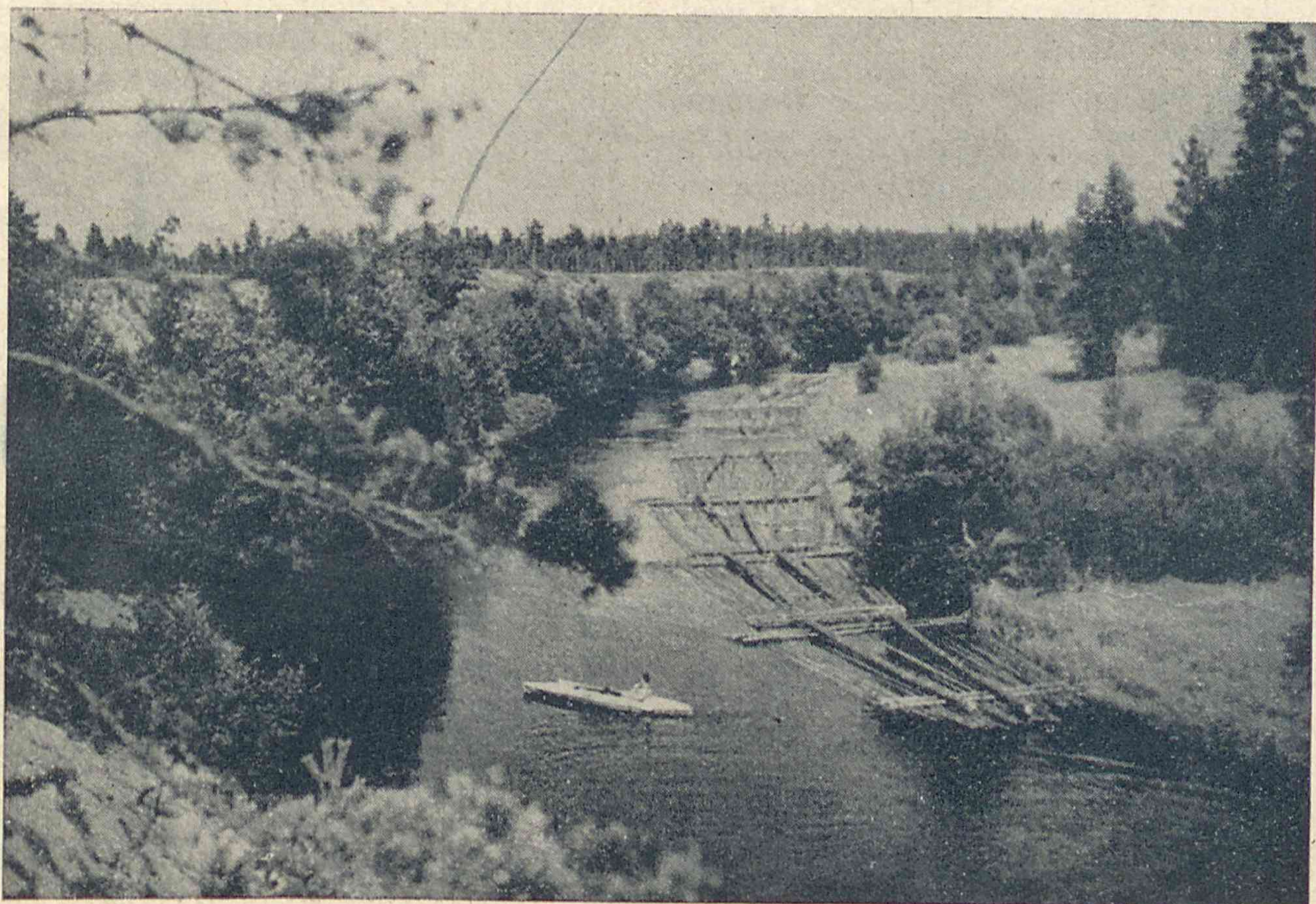






...kajak przepływa pod namiotem olbrzymich sosen

płyniemy po krętej Żejmianie.



Odwiedzam miasteczko, dobrze mi znane z lat dziecinnych. Okazuje się, iż we dworze, który ongi przed wojną przeszedł w ręce rosyjskie, obecnie znowu dźwięczy mowa polska. Rozgościło się tu kilkudziesięciu letników z Wilna i Warszawy, a nawet z Poznania i Lwowa. Dwór powrócił w polskie ręce, a jego przedwojenny właściciel, dawniej elegancki rotmistrz gwardji Mordwinow, mieszka w jednej z sąsiednich wiosek. Tempora mutantur...

Jeziora się skończyły. Mijamy obecnie niezliczone zakręty Żejmiany. Jest to niewątpliwie jedna z najładniejszych i najdogodniejszych dla kajaka rzek w Polsce. Na przestrzeni przeszło stu kilometrów, t. j. na całej swej długości od Kołtynian aż do ujścia w Santoce do Wilji, nie posiada wcale mielizn, tak uciążliwych na innych rzekach. Naogół przypomina Drwęcę lub Czarną Hańczę.

Mijamy szeregi tratw i kilka wiosek z ludnością litewską. Dopiero przed samemi Nowemi-Święcianami słyszymy dzieci, rozmawiające z sobą po polsku.

Szczególnie piękny jest odcinek Żejmiany pomiędzy Nowemi Święcianami a Podbrodziem. Kajak przepływa pod strzechą olbrzymich sosen, gęstych olch i smutnych, płaczących brzóz. Rzeka wyczynia niewiarogodne zakręty, jakgdyby dbała o równomierne opalanie się podróżnych: słońce w plecy, słońce w twarz i znów w plecy.

Wiosek spotykamy mało.

Wreszcie słychać zdaleka capstrzyk wieczorny, zwielokrotniony echem, i daleki chór: „Wszystkie nasze dzienne sprawy". Lądujemy w Podbrodziu obok stacji kolejowej i koszar 23-go pułku ułanów. Ostatni nocleg w namiocie. Rano jeden z kolejarzy pomaga przenieść rzeczy i składak wprost na peron kolejowy.

Wracamy do Warszawy.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Zmierzch Bismarka

(x) Ciekawym objawem psychologji hitlerowskiej jest zanikanie we współczesnych Niemczech kultu Bismarka. Dawny wzór patrjotyzmu i mądrości politycznej odsuwany jest coraz bardziej zdecydowanie do lamusa.

Nie jest to wyłącznie wskutek konkurencji kultu dla Hitlera. W tem ustosunkowywaniu się do Bismarka są i momenty bardziej zasadnicze.

Ideą i punktem wyjścia polityki Bismarka była unja, zjednoczenie, sojusz trzech cesarzy. To nastawienie polityczne ówczesnych Niemiec coraz wyraźniej uważane jest za błąd Bismarka, za jego grzech przeciw niemieckości. Zarzut, iż z winy tradycyjnego kultu dla bismarkowskiej polityki Wilhelm II nie skorzystał ze świetnej okazji uderzenia na Rosję w 1905 roku i przez to zwycięstwo nie doprowadził do sojuszu Niemiec z Japonją, coraz częściej się słyszy z ust polityków nazisowych. A dziś sprawa sojuszu czy choćby zbliżenia z Japonją, to pragnienie polityków obecnego reżymu. Drugi ogłaszany i podtrzymywany błąd Bismarka — to właśnie liczenie się z Rosją jako z najpotrzebniejszym sojusznikiem. Polityka dzisiejsza na pierwsze miejsce wysuwa „anschluss" względnie „s p r a w ę a u s t r j a c k ą" i kolonizację Rosji. Saara uważana jest jako kwestja istniejąca jeszcze tylko 3 miesiące, tak Niemcy pewne są, że w tej czy innej formie w tym czasie Zagłębie Saary powróci do... macierzy. Patrząc więc pożądliwie ku Austrji i Rosji—Niemcy współczesne uśmierzyłyby nawet swą nienawiść ku Francji... za cenę jakiegoś współdziałania czy wolnej ręki na tamtych terenach. Nic więc dziwnego, że poczytuje się za błąd Bismarkowi wysuwanie dłoni przyjaznej ku cesarzowi Rosji i grożenie kułakiem Francji.

Wreszcie ostatnio spadł zarzut na żelaznego kanclerza z łam „Germanji", gdzie Emil Ritter—wywodził, iż Bismarkowskie idee były sprzeczne z dogmatami rasizmu, gdyż doprowadziły Niemcy ku idei państwowości z pominięciem walorów etnicznych, których nie doceniano, myśląc o ekspansji i bogactwie państwa a nie germanizmie jako sile najbardziej twórczej.



Podczas robót drogowych we Włoszech, aby ustrzedz od szkodliwego kurzu wspaniałe cyprysy, okrywają całe drzewa pokrowcami.

Zarzuty na żelaznego kanclerza padają coraz gęściej. Kto wie, jak tak dalej pójdzie, może posągi i popiersia Bismarka znajdą się w obozie koncentracyjnym.

Gruba Berta

(m) Dalekonośna armata, przezwana Grubą Bertą, która w 1916 r. siała zniszczenie i panikę w Paryżu, którą tak pyszniła się artylerja niemiecka — nie była wynalazkiem niemieckim.

W 1916 dwuch hiszpanów zjawiło się w konsulacie niemieckim w Barcelonie, proponując projekt konstrukcji dalekonośnego działa, któreby mogło strzelać z odległości 120 kilometrów — poprzez stratosferę.

Niezwłocznie konsul niemiecki zaopatrzył „wynalazców" w niezbędne pieniądze i wysłał ich do Niemiec. Jak głosi jedna wersja, dla bezpieczeństwa planów, jedną z licznie przybijających do brzegów Hiszpanji łodzią podwodną. W Niemczech hiszpanie zostali natychmiast zaangażowani przez Kruppa, który zrealizował ich wynalazek, chrzcząc imieniem swej żony Berty — nowe działo.

Historja wynalazków jest jednak niesłychanie skomplikowana; często bywa tak, że dwuch ludzi, uczonych, wpada na tę samą formułkę, na ten sam „ślad" inwencyjny. W tym samym czasie inżynier rosjanin Szyłowskij zjawił się u Marcelego Sembat, wówczas ministra, przynosząc podobne plany. Sembat udał się z nim do prof. Painlevé, który zbadawszy plany, uznał je z punktu widzenia naukowego za utopijne i zbył niczem ich dostawcę. Nawet kiedy „Gruba Berta" strzelała na Paryż, uczony i minister twierdził z uporem, że są to pociski z balonów.

Koincydencja wynalazku „hiszpanów" i „rosjanina" mogła być istotnie koincydencją, ale skoro się pamięta szaloną aktywność wywiadu niemieckiego w Hiszpanji, może się zjawiać przypuszczenie, czy wynalazczy hiszpanie i konsulat niemiecki w Barcelonie nie byli poprostu „zdobywcami" planów Szyłowskiego — na których nie poznał się Painlevé.

Dobra organizacja

W tych dniach nadeszły do Warszawy urzędowe sprawozdania z doskonałego przebiegu propagandowej wycieczki dziennikarzy niemieckich do Polski, odbytej z inicjatywy Ministerstwa Spraw Zagranicznych dn. 15—26 września b. r. Ze sprawozdaniem powyższem nadeszło też następujące pismo posła Rzeczypospolitej w Berlinie:

„Na podstawie otrzymanego sprawozdania z przebiegu wycieczki dziennikarzy niemieckich w Polsce, z przyjemnością mogę stwierdzić wysoki poziom strony organizacyjno - technicznej, kierowanej przez p. Stanisława Lewickiego i wyrażam Orbisowi moje podziękowanie. — poseł Rzeczypospolitej: Józef Lipski".

Miljoner — głodomór

(x) Maharadża Gondalah ma wkrótce obchodzić swą 70-tą rocznicę urodzin.

Zgodnie z tradycją w tym uroczystym dniu maharadża - miljoner winien zważyć się skrupulatnie i rozdać ubogim równowartość swej wagi w złocie.

Niewiadomo, czy kryzys dotarł do skarbca maharadży, czy też chciwość wrodzona każe mu żałośnie spoglądać na drogie kamienie i sztaby złota — dość, że maharadża od paru tygodni rozpoczął gwałtowną kurację odchudzającą.

Tradycji stanie się zadość —ale zawsze parę *kilo złota* zostanie uratowane dla skarbca.

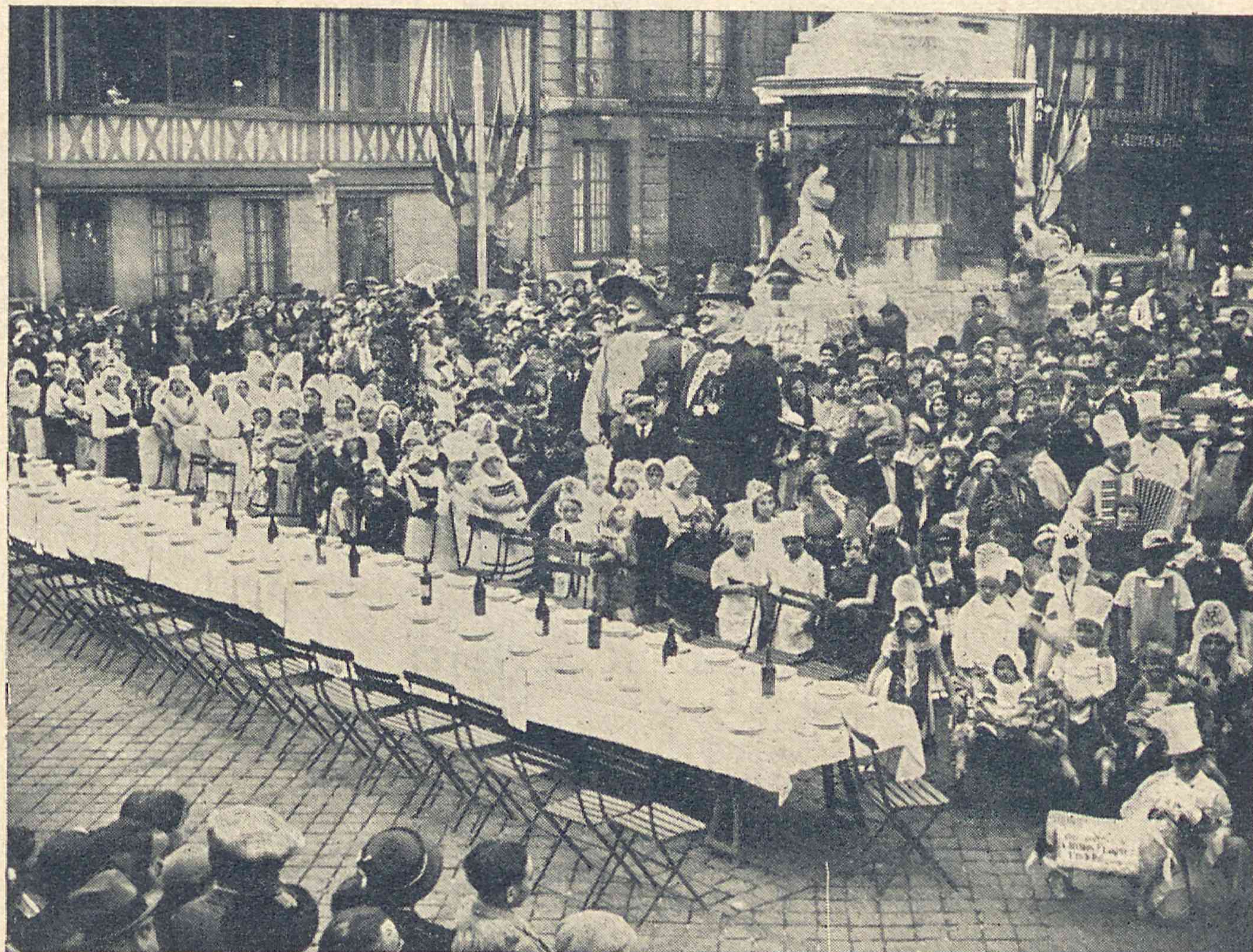
Rozkładowy... wspólny front

(ch) Wewnętrzne życie Francji, jej zatargi parlamentarne, tarcia wewnątrz stronnictw, osłabienie autorytetu dawnych polityków przekracza dziś cechy tarć wewnętrznych. W chwili, gdy oficjalna polityka idzie po linji zbliżenia z sowietami i gdy równolegle z nią powstaje dla celów polityki wewnętrznej „Wspólny Front", czyli organizacja współpracy, wspólnych wieców, wspólnej polityki i głosowań socjalistów, komunistów i lewego skrzydła stronnictwa radykalno - społecznego, do którego należą tak znani politycy, jak: Herriot, Daladier, Caillaux, Cot, Sarraut — to ta równoległość akcji jest nietylko zastanawiająca — może ona Francji nieść poważne wstrząsy. Wprawdzie przywódcy stronnictwa, które ze struktury swych wyborców jest par excellence drobnomieszczańskie, gdyż gros jego głosów wnoszą chłopi, drobni funkcjonarjusze i kupcy francuscy, nie są zwolennikami Wspólnego Frontu, ale dziś na tym terenie zwyciężają mniej znani od pp. Herriot, Caillaux. Jeśli przypomnimy sobie nastroje i wypadki z 6-go lutego w Paryżu, to obecną akcję Wspólnego Frontu można uważać jako przygotowywanie rewanżu ze strony żywiołów komunizujących i skrajnie lewych. Dlatego to właśnie wrzenie we Francji jest niepokojące, iż odbywa się w nastroju i psychozie walki ulicznej. Może do niej nie dojść, może się ona nie przerodzić w społeczne starcia, ale cała akcja i reakcja polityczna odbywa się w tej atmosferze. Z doświadczeń ruchów masowych wiadomo, że taka atmosfera jest pierwszym warunkiem ich powodzenia i rozwoju. Te same doświadczenia wykazują, iż w momencie realizowania się takich ruchów decydują o ich rozpiętości i napięciu żywioły najskrajniejsze, a więc w tym wypadku komuniści. Czują to i wiedzą przywódcy radykałów Herriot, Caillaux i inni i dlatego niechętnem okiem patrzą na „Wspólny Front".

Ale zahamować ruchu, na którym jedzie osławiony p. Bergery, w tej chwili nie są w stanie. Z jednej strony delegaci Francji pod rękę z Litwinowem prawili sobie dusery w Genewie, a z drugiej „Wspólny Front" przy wyborach głosami chłopów i drobniutkich kapitalistów zwycięża kandydatów republikan i zapowiada niemal rewolucję socjalną.

Atmosfera w istocie więcej niż przychylna dla komunistów. Radykałowie - socjalni sami walą toporem w drzewo, na którem uwili gniazdo swej władzy, ułatwiają sobie stratę wyborców, a komunistom tryumfalne sukcesy przy przyszłych wyborach.

W Rouen, we Francji, odbywa się normandzkie „Święto żołądka". Jest to propaganda win i kuchni normandzkiej.



Młode normandki próbują „starego Calvadosa"





„Magazyny mód sprowadziły na bieżący sezon nowe krynoliny...“

KALENDARZYK WARSZAWY
Z PRZED PÓŁ WIEKU
Październik 1884 rok

„O, ESTETYKO!“

„Magazyny mód sprowadziły na bieżący sezon przyrządy zwane pół krynoliną.

Ani wątpić, że powierzchowność naszych pań zmieni się wkrótce.

Estetyko, zamknij oczy!“

I WTEDY...

W jednym z dzienników znajdujemy notatkę p. t. „Na powodzian“:

„Z Łowicza donoszą nam, że magistrat tamtejszy zebrał drogą składek na powodzian sumę 157 rs.“

I TO TAKŻE, WTEDY...

Pod swawolnym tytułem: „Z ogródka“, znajdujemy taką wiadomość:

„P. Bolesław Leszczyński, b. artysta sceny warszawskiej, przyjął propozycję p. Puchniewskiego i wystąpi kilkakrotnie w ogródku Bellevue w melodramacie „Chata za wsią“ (rola Tumrego).

Ha! Wiele się czyni *propter esum.*“

W kilka dni później można znaleść sprawozdanie z owego przedstawienia: w ogródku Bellevue wywieszono napis: „Nie teatr zdobi artystę, ale artysta teatr.“

ZDOLNI WELOCYPEDYŚCI

W dniu wczorajszym zrana trzech braci P. wyjechało z Warszawy na welocypedach z zamiarem dotarcia do Siedlec.

Podobna wycieczka wymaga niemałej siły i wprawy, którą też rzeczywiście mogą się trzej welocypedyści poszczycić.“

OPERETKA

„W teatrze na Królewskiej odnowiono „Córkę pani Angot“, pierwsze popularne dziecię lekkiej muzy Lecoqa.

P. Manowska przewyższyła poprzedniczkę swoją p. Mellerowicz nietylko tuszą, ale i grą żywszą i śpiewem przyzwoitym. Przebaczamy jej nawet ambaras z swawolnym nieco kostjumem.

Balet zrobił swoje: fruwał i obrzucał spojrzeniami pierwsze rzędy — oklaskom więc nie było końca.“

SEZON W ZAKOPANEM

„Zakopane już tłumnie jest opuszczane.

Dziś wyjeżdża stąd profesor Baranowski, wybrawszy pieszą drogę przez Rysy. Dr. Chałubiński zabawić ma jeszcze dni 10.

Wczoraj Zakopane miało „evenement“ interesujący wszystkich czasowych i starych mieszkańców. Wypadkiem tym było poświęcenie „Modrzejowa“, zgrabniutkiej, milutkiej i uroczo wśród drzew górzystego lasu ukrytej willi Heleny Modrzejewskiej“.

PRZYJĘCIE U MODRZEJEWSKIEJ

„Po ceremonji poświęcenia nastąpiło przyjęcie dla gości.

Znajdujący się pomiędzy zaproszonymi znany kompozytor Ignacy Paderewski zasiadł do fortepianu, poczem uprzejma gospodyni spytała skromnie: „czy goście raczą wysłuchać jej deklamacji?“ Z uczuciem i właściwą jej śpiewnością głosu wypowiedziała „Pożegnanie“ Krasińskiego“.

INNOWACJA

Pod powyższym tytułem znajdujemy w jednem z pism warszawskich następującą notatkę:

„Na jednej z tutejszych pensyj żeńskich w program obowiązkowych przedmiotów wprowadzona będzie gimnastyka.

Innowacja ta ze względu na korzyści hygjeniczne zasługuje na poklask“.

KŁOPOTY GOSPODARZY

Zbliża się św. Michał, termin wynajmu mieszkań.

Właściciele domów, nauczeni smutnem doświadczeniem ubiegłych kwartałów, obniżyli znacznie ceny lokalów, jak to z licznie rozwieszonych kart na bramach przekonać się można“.

Wzmianka ta ma tytuł: „Abdykacja“.

(Kar. b.)

Na działkach rolnych „Osiedla“ i „Opieki“ dla bezrobotnych



Pani Marszałkowa Piłsudska w grupie organizatorek „Osiedla“, obok p. ministr. Zofja Carowa i wiceprezydent Olpiński

Tyle jest biedy w kraju, iż zdawałoby się, że i zaradzić temu już niepodobna; lecz przed czem nieraz mężczyzna staje bezradny, kobieta rozwiązuje jednem cięciem swej nieraz genjalnej intuicji serca. I tak się miała sprawa w przyjściu z pomocą bezrobotnym.

Pani Marszałkowa Piłsudska, chcąc im przyjść z pomocą, rzuciła myśl, by wszystkie nieużytki terenów podmiejskich oddać bezrobotnym w czasowe posiadanie. Dzięki poparciu pana vice-prezydenta Olpińskiego, myśl stała się ciałem: tereny zostały podzielone na działki i drogą losowania oddane bezrobotnym do uprawy. Wielkość działek uzależniona od ilości członków danej rodziny.

Wyłoniły się dwie organizacje: Sekcja „Ogródków działkowych“ „Osiedle“ pod kierownictwem niestrudzonem pani ministrowej Zofji Carowej i „Opieka“ pod kierownictwem pani Marji Janta Połczyńskiej.

Obie te panie, nie ustając w swej ofiarnej pracy, potrafiły wykołatać dla użyźnienia gleby swych działkowiczów dwie tony różnych nawozów sztucznych, 500 metrów kubicznych zmiotków ulicznych, oraz 300.000 klg. kartofli na sadzenie i 1200 kop sadzonek kapusty.

W piękny, słoneczny dzień w gościnnym salonie pani min. Carowej zgromadziliśmy się, by następnie paru samochodami udać się tam, gdzie chęć pomożenia nieszczęśliwym, oraz nie cofająca się przed trudnościami wola cuda zdziałały.

Była to jedna z ciekawszych wycieczek dziennikarskich. I pomyśleć tylko, że te nieużytki, które z biegiem czasu wzrosły z 25 ha do 200, leżące odłogiem na Pradze za parkiem Sieleckim, na Saskiej Kępie, dalej na obszarze od Bielan ku Wawrzyszewu i Młocinom, ongiś zbiór wszelkiego rumowiska, po którem wiatr tylko hulał, wyżywiają dziś parę tysięcy ludzi. Objawem zadowolenia działkowiczów może służyć fakt, iż ci nędzarze dzielą się plonami swej pracy i na ręce min. Carowej złożyli spontanicznie dla jeszcze biedniejszych od siebie przeszło 50 centnarów metrycznych jarzyn.



P. min. Zofja Carowa

Z prawdziwą przyjemnością patrzeć można było na ogorzałe twarze dawniejszych bezrobotnych, dumnych z owoców swej pracy i pełnych radości, że widmo głodu na całą długą zimę zażegnane dla nich i dla ich dzieci, a niektórym nawet praca ich tak obfity plon wydała, że mogli część jarzyn sprzedać i za te pieniądze opłacić komorne.

To też z zaufaniem i wdzięcznością garnęli się do pani Marszałkowej Piłsudskiej. Z dumą otwierali swe worki naładowane kartoflami w doskonałym gatunku i chwalili się niemi, podając pani Marszałkowej na biednej tacce okrytej czyściutką serwetką parę świeżo upieczonych kartofli.

Myśl twórcza pani Marszałkowej Piłsudskiej osiągnęła swą realizację, a błogosławieństwa biedaków iść będą szlakiem Jej życia. *M. d. L.*



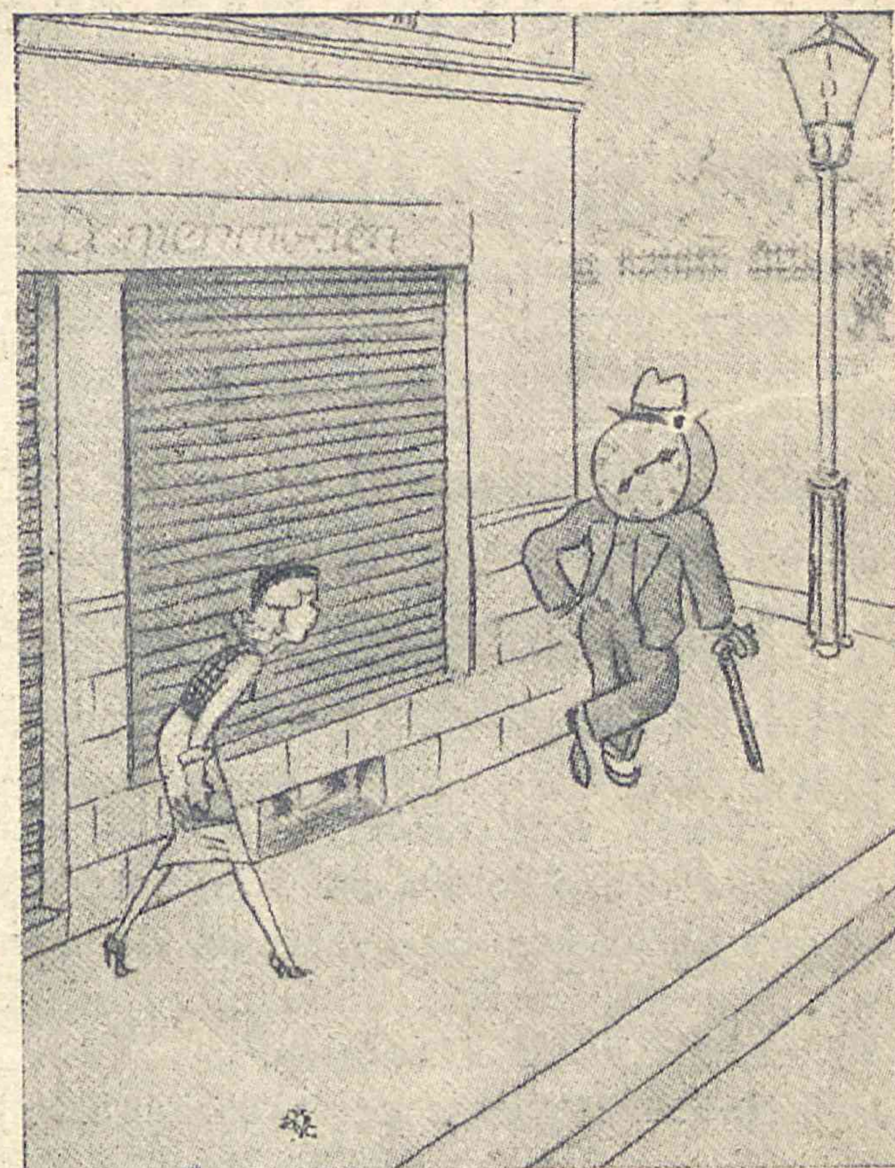
Wielka Instytucja Społeczna w Paryżu Dom Opieki Polskiej

P. Ambasadorowa Chłapowska w gronie niezmordowanych pracowników Domu Op. Polskiej. 1. p. Chłapowska, 2. b. konsul generalny w Paryżu p. Karol Poznański, 3. p. de Contant - Byron, 4. dr. Wanda Cossé-Rakowska, 5. p. rad. Frankowska, 6. dr. Hufnagiel, 7. dr. Izbicki.

HUMOR ZAGRANICZNY



— *Ach, ty gałganie, kradniesz mi gruszki! Żebym wiedział, gdzie jest twój ojciec, sprowadziłbym go tu.*
— *Tatuś? Tatuś siedzi na tamtej pańskiej jabłonce.*



— *Umówiliśmy się przecież na czwartą.*



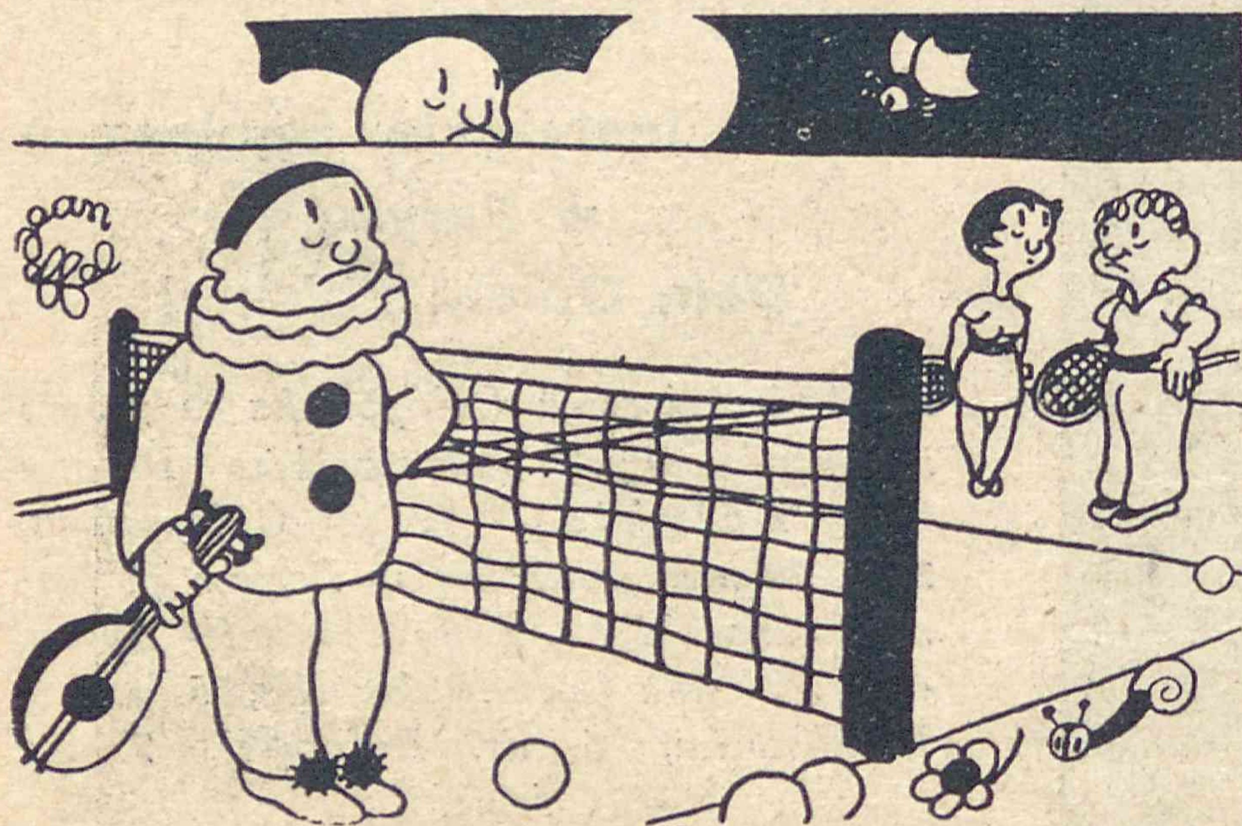
— *Jakżeż wakacje? A gdzie szanowny małżonek?*
— *Został jako zakładnik w pensjonacie.*



Tak zapamiętały brydżysta widzi krajobraz.



— *To dziwne, wziąłeś odemnie polecenie na kupienie pończoch, a w tem pudle znajduję taką efektowną sukienkę.*
— *?...*



Cóż to za dziwny gracz po tamtej stronie siatki z rakietą o dwuch strunach?



Uuu... i co ja teraz zrobię z mojemi siedmiomilowemi butami? do domu mam tylko 3 mile, do Babci 2 mile, co zrobię krok, to się oddalam.

BOHDAN TEOFIL LEPECKI

REWOLUCJA POŁUDNIOWO-AMERYKAŃSKA

(dokończenie).



Avenida Niemeyer — najpiękniejsza aleja w Rio

Zrozumiałem, że rewolucja rozpoczęła się również i w stolicy kraju. Pobiegłem do pensjonatu, aby zakomunikować żonie sensacyjną nowinę. Jeszcze nie dokończyłem opowiadania, gdy dom zatrząsł się od huku wystrzałów armatnich. Rewolucja stawała się coraz bardziej wymowna.

Koło naszego domu przejeżdżały raz poraz samochody napełnione tłumami żołnierzy i dobrze uzbrojonych cywilów. Wszyscy byli przystrojeni w czerwone kokardy. Nad niektóremi autami powiewały już czerwone sztandary. Samochody dążyły w stronę tuneli, przeprowadzonych pod górami oddzielającemi Copacabanę od centrum miasta. Rewolucjoniści wznosili okrzyki na cześć przewrotu i na pohybel staremu regimowi, strzelając na wiwat. Dla ludzi niewtajemniczonych w strukturę brazylijskich rewolucyj wyglądało to bardzo groźnie. Niektórzy sądzili, że w najbliższym czasie będziemy świadkami ruchów o charakterze społecznym, że to początek Kiereńszczyzny rosyjskiej. Niepokoili się zwłaszcza entuzjazmem rewolucyjnym niższych warstw, a szczególnie murzynów, którzy z wrodzonym sobie, dziecinnym temperamentem, przejawiali swój nastrój radykalny. Tylko mieszczaństwo brazylijskie było najzupełniej spokojne. Zbyt dobrze znało stosunki miejscowe, aby móc uwierzyć w możliwość przewrotu społecznego. Przez myśl mu nawet nie przeszło, żeby ustrój oparty na prywatnej własności mógł ulec jakiemukolwiek załamaniu. Było tak pewne, że prawa ich będą uszanowane, iż nie zabezpieczali swoich majątków w sposób godniejszy uwagi. Bolszewizm wydawał im się strachem na wróble, niegroźnym pod błękitnem niebem Brazylji.

Nie mogłem wysiedzieć w domu i bezczynnie słuchać muzyki armatniej. Byłem dopiero dwa miesiące w Brazylji i nie zdołałem jeszcze osiągnąć osławionego, apatycznego „spokoju brazylijskiego" (calma brasileira). Postanowiłem koniecznie dotrzeć do centrum miasta. Na ulicy uderzył mnie osobliwy widok. Jezdnią ciągnęły nieskończone sznury samochodów, ustrojonych w czerwone sztandary i przepełnionych ludźmi. Wiele kobiet ubrało się w czerwone sukienki, czerwone kapelusiki i nawet czerwone pantofelki. Zewsząd padały radosne okrzyki na cześć rewolucji. Potrząsano czerwonemi chorągiewkami i strzelano na wiwat. Chodnikami ciągnęły tłumy murzynów i mulatów oszalałe entuzjazmem, najgoręcej przejawiające swoją radość. Na rogu Copacabany i Barroso stał młody murzyn w rozchełstanej koszuli, pijany radością i wznosił ciągle jeden okrzyk: Revolucao! Revolucao! Revolucao!

Strzały armatnie cichły powoli. Z urywkowych okrzyków dowiedziałem się, że właściwie rewolucja już zwyciężyła i że strzelają tylko na wiwat. Do pałacu prezydenta przy ulicy Callele wkroczyli rewolucjoniści i zaproponowali Waszyngtonowi Luisowi zrzeczenie się władzy. Nieudolny, ale uparty i pełen wysokiego poczucia godności osobistej prezydent oświadczył, że 15 listopada kończy się jego kadencja i dopiero w tym terminie może złożyć rządy. Nie było innej rady— musieli zaaresztować upartego i dumnego starca i uwięzili go w jednym z fortów na Copacabanie. Bojąc się groźnych wystąpień tłumu przeciw zdetronizowanemu władcy, poprosili o towarzyszenie mu w czasie drogi z zamku do fortu kardynała Sebastjana Leme, dosyć popularnego w szerokich warstwach społeczeństwa rioskiego.

W centrum miasta, dokąd dotar-



Poseł Grabowski w Aldeiamento dos Indios wśród indjan





łem wreszcie po kilkogodzinnej wędrówce, urządzili brazylijscy rewolucjoniści prawdziwie czerwony karnawał. Kupcy wyprzedali momentalnie wszystkie zapasy czerwonego materjału, papieru i bibułki. Po wspaniałych avenidach kotłowały się olbrzymie masy ludzkie, nad któremi powiewał las chorągwi, chustek. Tłumy kołysały się, pędziły, wznosiły okrzyki, stąpały ochoczo po ulicach, na których widać było kałuże niezupełnie jeszcze zakrzepłej krwi. Bajecznie kolorowe masy szalały do późna w nocy. Własność została naogół uszanowana, mordów nie było, tylko redakcje pism prorządowych odcierpiały dotkliwie wszystkie winy upadłego rządu. Wzburzone tłumy, napełniające najgłówniejszą arterję stolicy, przepiękną avenidę de Rio Branco, podpaliły redakcje pism „Vanguardia", „O Paiz", „A Noilo" i kilku innych. Niszczono urządzenia drukarni, wyrzucano na ulicę sprzęty, wysypywano papier. Nikt im nie przeszkadzał w tem bezkrwawem dziele zniszczenia. Na drugi dzień jednak wszystko się uspokoiło i życie weszło do normalnego łożyska. Zniknęła karnawałowa czerwień. Junta wojskowa zawiadomiła Vargasa o zwycięstwie rewolucji w stolicy kraju i wezwała go, aby przyjechał i objął władzę nad krajem. Wódz rewolucjonistów nie chciał jednak przyjeżdżać bez swoich wiernych pułków riograndeńskich i dopiero po ich wkroczeniu zdecydował się na wjazd do stolicy.

Tymczasem policja rioska, bardzo przywiązana do Waszyngtona Luisa, przerażona pozatem rugami personalnemi, które nowy rząd postanowił dokonać w jej szeregach, zbuntowała się i 27 października urządziła kontrrewolucję. Doszło do krwawych walk w okolicach Lapy i na placu Gloria. Wielu ludzi zostało zabitych, jeszcze więcej rannych. Zarówno jednak wojsko, jak i ludność cywilna postanowiły ostatecznie skończyć ze starym regimem. Tłumy obywateli cywilnych z bronią w ręku czynnie dopomagały wojsku w rozprawie z buntownikami. Po trzech godzinach walki rewolucja tryumfowała.

31-go października wieczorem przyjechał wreszcie upragniony przez wszystkich i tęsknie oczekiwany wódz rewolucji dr. Getulio Vargas. Jeszcze raz buchnęła wysoko fala entuzjazmu rewolucyjnego. Całe miasto wyległo na ulicę, dzielące dworzec kolejowy od pałacu prezydenckiego. Główne masy skupiły się na zalanej potokami światła avenidzie de Rio Branco. Po obu stronach wąskiego paska jezdni, po której miał przejeżdżać Vargas, zgromadziły się kolosalne tłumy, drżące ze wzruszenia, z tęsknotą czekające na przyjazd ukochanego „Getulina", zbawcy, który miał skołatanej ojczyźnie przywrócić gwałconą przez dawne rządy wolność, wskrzesić jej dobrobyt gospodarczy, pchnąć życie na nowe tory. I przyjechał dyktator. Stał w czerwonej chustce w otwartym samochodzie i kłaniał się uprzejmie szalejącym z radości tłumom. Tęgi, przysadzisty mężczyzna, rzucał rozumnemi oczyma po witających go masach, jakby chcąc dociec, do czego upoważnia go łaska ludu.

Na drugi dzień uformował się rząd prowizoryczny z Vargasem na czele i ogłoszono program, którego najważniejszemi punktami było:

przeprowadzenie uzdrowienia moralności publicznej (saneamento moral);

wprowadzenie tajnego głosowania do parlamentu;

zwołanie Konstytuanty i przeprowadzenie gruntownej rewizji dotychczas obowiązującej konstytucji;

obsadzenie urzędów publicznych przez ludzi czystych rąk.

Ci wszyscy, którzy obawiali się, że rewolucja brazylijska przybierze bolszewickie zabarwienie, mogli spać spokojnie. Czerwone chustki i kokardy żołnierzy Vargasa były tylko malowniczym rekwizytem teatralnym. Vargas nie okazał się Leninem ani nawet Kiereńskim.

ŚWIAT KSIĄŻKI

Jan Wielowieyski „Bohaterskie loty". Powsz. Sp. Wydawn. „Płomień". Ostatnim niejako akordem polskich zwycięstw powietrznych jest ukazanie się książki Jana Wielowieyskiego „Bohaterskie loty", będącej zarazem udatnym debiutem literackim. Autor w kilkunastu reportażach, utrzymanych w tonie nowelistycznym, zebrał usiłowania lat ostatnich podbicia szlaków podniebnych i uczynienia z nich nie mniej wygodnych gościńców komunikacyjnych, jak te, któremi człowiek rozporządza na ziemi. Jak w fantastycznej baśni, przypominającej żywo legendę o Dedalu i Ikarze, kreśli Wielowieyski dzieje bohaterskich i niestety niejednokrotnie tragicznych przelotów nad Atlantykiem, lotów dookoła świata, wypraw w stratosferę, słowem, zaciekłej walki, wydanej tajemnicy powietrza. Czytelnik spotyka samych znajomych, niestrudzonych pionierów lotnictwa, których nazwiska zapisały się już nazawsze w historji aeronautyki. Bohaterska sylweta maj. Skarżyńskiego, jowialni Adamowicze, lotnik - cyklop, Willy Post, fantastyczna epopea, zakończona prawdziwym cudem uratowania Hausnera, prof. Piccard, znana z odwagi i nietaktu Amy Johnson, lot Mollisonów, „słodka Marysia" i wreszcie lot nad Mont Ewerest znalazły w Wielowieyskim entuzjastycznego lecz bezstronnego kronikarza, umiejącego kilkoma kreskami naszkicować sylwetkę lotnika i uczynić ją żywą oraz interesującą.

Dużą zaletą książki jest język. Autor zna go dobrze, umie używać i szanować. Jest to zaleta ogromna zwłaszcza w dobie niechlujstwa stylistycznego, właściwego dzisiejszym, młodym pisarzom, uważającym lekceważenie składni i słowa za atrybut talentu. „Bohaterskie loty", ozdobione gustowną okładką B. Nowakowskiego, są książką godną polecenia dla najszerszych warstw, a ministerstwo W. R. i O. P. winno zaliczyć ją do obowiązkowej lektury szkolnej, ze względu na szlachetny charakter i serdeczny, bezpretensjonalny hołd, złożony podniebnym rycerzom na szlakach braterstwa narodów.

Edmund Jezierski „Jadwiga i Jagiełło" Wydawn. St. Cukrowskiego. Epoka Jagiellonów jest niewyczerpanem źródłem zarówno badań historycznych, jak również kanwą, na której fantazja literacka wyszywa coraz nowe desenie. Do źródeł tych sięgnął autor kilku cenionych prac historycznych Edmund Jezierski, nie usiłując rzucać nowego światła na dwie najpopularniejsze postacie, lecz scharakteryzować je w formie najprzystępniejszej dla czytelników, nie posiadających ściślejszego wykształcenia historycznego. Trzytomowa kronika Jezierskiego (pod pseudonimem tym ukrywa się znany publicysta), utrzymana w formie do pewnego stopnia powieściowej, pisana jest żywo, z dużem zacięciem narracyjnem i oparta na głębszych studjach. Autor doskonale operuje posiadanym materjałem, snuje wartko akcję fabuły, ładnie uwypuklając i podkreślając koloryt epoki, a zwłaszcza jej czołowej postaci — królowej Jadwigi. Pierwsza monarchini polska, w ujęciu Jezierskiego, posiada nietylko zgodny z historją majestat—lecz jest nawskroś kobieca, a więc bliższa i zrozumialsza czytelnikowi. Ładny język podnosi jeszcze walory książki.

Ostatnia praca Jezierskiego stanowi doskonałą lekturę dla młodzieży szkolnej, a zwłaszcza dla więcej zaawansowanych warstw rzemieślniczo - ludowych i z tego powodu powinna znaleść się we wszystkich bibljotekach popularnych.

J. S. W.

LWY NA FILMIE (Nowela)

Joe Hulse zdawał sobie sprawę, że filmowanie lwów w Maranii będzie połączone z dużem niebezpieczeństwem. Było ich cztery: dwa potężne samce i dwie wielkie lwice. Żyły na fermie majora Craiga, a właściwie w rezerwacie, posiadającym przeszło 300 km² zupełnie dzikiego „veidtu", pokrytego tu i owdzie kępami kolczastych krzaków i porżniętego kilkoma strumieniami, niezaznaczonemi na mapach.

Bogaty i ekscentryczny Craig ostrzegał, że bestje są niebezpieczne. To właśnie pociągało Hulse'a. — We wszystkich filmach afrykańskich figurują małe bojaźliwe lwy z Tanganaiki. Publiczność zaczyna mniemać, że lwy są łagodne, jak baranki. — Chcę im pokazać dzikie i groźne lwy — mówił do majora.

— Krew pańska niech spadnie na pańską głowę. Kiedy mam jechać w górę rzeki, zawsze wybieram sobie najszybszego konia. Czasem je widuję, a one mnie, lecz zawsze z przyzwoitej odległości. Zapewniam pana, że ufać im nie można, lecz, jeśli pan którego postrzeli, będzie pan miał ze mną do czynienia. Niech pan sobie strzela, do czego chce, ale nie do moich lwów.

I tak zdarzyło się, że kiedy wielki, płowogrzywy Guvu poprowadził pewnego wieczoru swoją gromadkę do wody, wyczuł nagle obecność człowieka. Wietrzyk przynosił zapach potu ludzkiego i palącego się drzewa. Lwy skupiły się, milczące i czujne.

Były to wspaniałe zwierzęta. Samce Guvu i Kali miały powagę monarszą, a siłę tytanów; lwice Laini i Embani wspaniały, groźny wdzięk, który cechuje te zwierzęta. W żółtych, srogich źrenicach żarzyła się dzika drapieżność.

Guvu był władcą Maranii. Człowiek zakupił jego królestwo i nazwał je swojem, lecz póki on żył — było jego. Choć nie uznawał uzurpatora, nie szukał z człowiekiem sprzeczki. Należało jednak wyjaśnić obecność obcych przybyszów.

Idąc na łowy, Laini pozostawiła w legowisku trzy małe lwiątka, to też bliskość ludzi była dla niej powodem do niepokoju.

Guvu wyciągnął szyję i ryknął. Należało to do jego stałych zwyczajów. W ten sposób i o tej porze oznajmiał zawsze swoją władzę nad terenem łowieckim, lecz dziś brzmiała w jego głosie arogancka nuta, mająca być ostrzeżeniem dla ludzi, którzy wtargnęli w jego państwo. Towarzysze jego przyłączyli swoje głosy, jakby chcąc przewyższyć jeden drugiego w tej kakofonicznej demonstracji.

Niema człowieka na świecie, któremu serce nie zabiłoby żywiej na ten dźwięk. Hulse, palący papierosa przed namiotem rozbitym na polance w pobliżu rzeki, poczuł zimny dreszcz.

Wychylił kieliszek i poszedł do namiotu po dubeltówkę. Poczem rozejrzał się po obozie. Ogarnął wzrokiem zadeptany krąg trawy naokoło ogniska, trzy namioty boyów, krytą platformę, zawierającą jego ekwipunek. Wysokie eukaliptusy i rozproszone kępy krzaków otaczały obóz, między niemi stała się wysoka trawa. Wszędzie naokoło było tajemniczo i obco.

Szalona chęć powstrzymania biegu zapadającej nocy ogarnęła nagle Hulse'a. Chciał uciekać z tego miejsca, gdzie wkrótce zapanuje ponury mrok i cień, towarzysze złego. Otrząsnął się. Nerwy... Niepokój jego znajdował oddźwięk w poważnem milczeniu jego ludzi, a z dołu rzeki rozległy się znów te żałosne, głębokie tony. Hulse usiadł znów przy stoliku, piastując dubeltówkę na kolanach.

— Hej tam!... Poprawcie ogniska — rozkazał.

...Guvu podszedł do drzewa i otarł głowę o pień, jak kot. Przednie łapy oparł o drzewo i przeciągnął się, napinając swoje wspaniałe muskuły. Poczem ruszył ku obozowi. Szedł pod wiatr aż do brzegu polanki i zza krzaka wyjrzał. Nie dalej był, niż o jakie trzydzieści kroków od ludzi... Po chwili podeszła do niego Laini. Obie bestje przyglądały się dziwnym białym domkom, postaciom ludzkim i żółtemu odblaskowi ognia, który dla nich był czemś niezrozumiałem lecz lubiącem widocznie towarzystwo ludzkie.

Laini głośno, przeciągle stęknęła. Halse zerwał się z krzesła. — O Boże — wykrzyknął. — Przyszły tutaj...

Jego pomocnik, Abdi, wykształcony Swahili, rzekł: — Uspokój się, Bwana, nie mają złych zamiarów. — I wpił wzrok w krzaki.

Z innej strony odezwała się Embani. Lwy zdawały się ze sobą rozmawiać, jakby uspakajając się wzajemnie, że ludzie nic złego nie knują, więc można zostawić ich w spokoju. Po chwili, postękując, odeszły w step.

Joe słuchał, jak się oddalały. — Boże broń, żebym kiedy zetknął się z ludożercą — westchnął w głębi duszy. Upewniwszy się o oddaleniu lwów, zaczął swoje przygotowania. Wysłał Abdiego z kilku ludźmi do jaskini, w której ukryta była zabita dnia poprzedniego zebra. Zaciągnięto ją na polanę w bliskości obozu i mocno przywiązano do drzewa. Następnie Hulse ustawił swój aparat, kierując objektyw ku zebrze. Instrument zaszyty był w kawałek mokrej skóry zebry i natarty tłuszczem zwierzęcia. Joe miał nadzieję, że woni człowieka nie zostało ani śladu. Wężyk od aparatu przeprowadził do platformy na drzewie, gdzie miał zamiar noc spędzić. Miał nadzieję, że lwy odkryją padlinę nad ranem i że wschód słońca zastanie je przy uczcie.

Łowy nie były łatwe o tej porze. Susza panowała już od kilku miesięcy, trawa była niska, nie dawała ochrony przy podchodzeniu i zwierzyna snuła się po otwartym stepie zdala od wszelkich zarośli. W takich warunkach polowanie jest jak rybołówstwo: powodzenie zależy głównie od szczęścia.

A tej nocy nie szczęściło się lwom.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Dnia 1 października r.b. zmarł w Warszawie ś.p. Witold Tyrakowski, długoletni urzędnik Ministerstwa Opieki Społecznej. Zmarły zajmował wysokie stanowiska w hierarchji urzędniczej, ostatnie zaś lata sprawował odpowiedzialne obowiązki inspektora opieki społecznej. Konsekwentny i wymagający, jako krytyk, umiał łączyć w pracy sumienność z wyrozumiałością, czem zasłużył sobie wśród licznych kontrolowanych przez siebie instytucyj społecznych na głęboki szacunek i zaufanie. Władze oceniły go jako urzędnika i działacza społecznego, odznaczając go Złotym Krzyżem Zasługi.



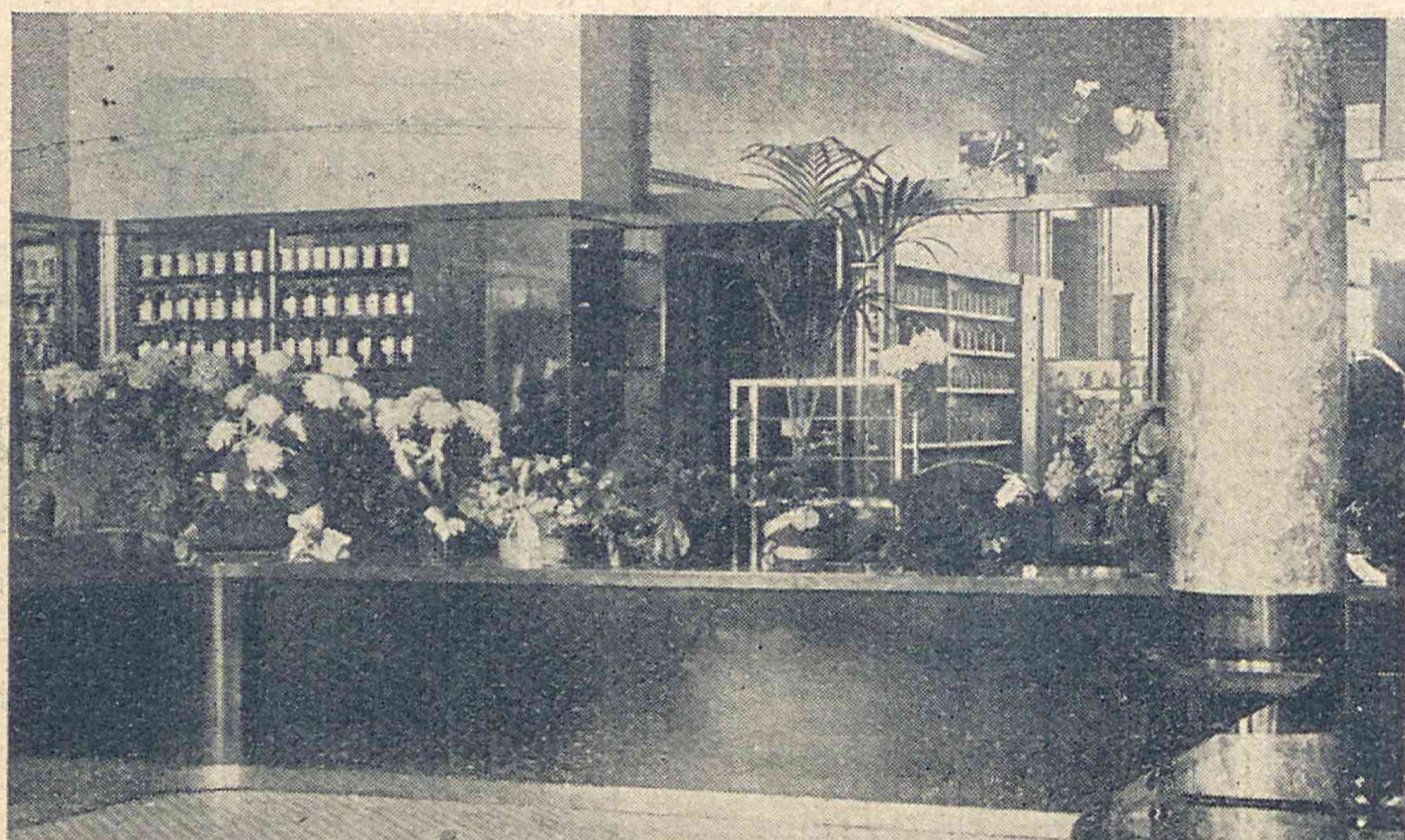
Ś. p. Witold Tyrakowski

W czasie wojny pracował czynnie w Straży Obywatelskiej, w roku 1920 stanął w szeregach 201 pułku artylerji polowej, brał udział w bitwach pod Warszawą i Grodnem.

Człowiek o nieprzeciętnych zaletach ducha, pogodny, prosty w obejściu, koleżeński i uczynny, cieszył się w gronie kolegów ogólnym szacunkiem i szczerą przyjaźnią. Pozostawił po sobie dobrą pamięć i głęboki smutek, że ubył szlachetny człowiek i kochany kolega.

Cześć Jego pamięci!

Stara placówka w nowej szacie



Od roku 1777, kiedy to stolica nasza liczyła zaledwie 80.000 mieszkańców, istnieje apteka dr. Farm. K. WENDA. Przez przeszło półtora wieku placówka ta niosła pomoc w cierpieniu ludzkiem i zawsze stała na wysokości szczytnego zadania. Od 157 lat skromny lokal przy Krak. Przedm. 45, był dobrze znany mieszkańcom stolicy. Ogromne zdobycze wiedzy ostatnich dziesiątków lat w dziedzinie lecznictwa i farmacji zmusiły obecnych właścicieli tej starej „Officynae sanitatis" do zmodernizowania urządzeń znacznego rozszerzenia lokalu i zastosowania w nowej siedzibie (Krak. Przedmieście 55) wszystkiego, co może dać dzisiejsza wiedza i technika.

W dniu 28 b. m. odbyło się uroczyste poświęcenie nowego lokalu. Na uroczystość tę przybyli liczni przedstawiciele świata lekarskiego i farmaceutycznego z całej Polski, a serdeczna staropolska gościnność zacieśniła jeszcze bardziej więzy przyjaźni i sympatji dla Firmy.

Wędrowały tu i tam po stepie, wyszukiwały stada zebr i antylop, lecz zbliżyć się do nich nie mogły. Każdy świetnie obmyślany plan podejścia psuła nagła zmiana prądów powietrznych lub niezwykła zręczność zwierzyny. Przed świtem wróciły do rzeki, złe ale niedające za wygraną.

Laini, która musiała myśleć o małych, nie towarzyszyła reszcie. Poszła sama w poświatę księżycową, licząc, że pochwyci jakąś zdobycz, zanim słońce każe jej szukać osłony.

Na brzegu polany, równolegle do obozu, Guvu uderzył znany zapach zebry. Trzy lwy zatrzymały się, rozlądając naokoło. W pobliżu znajdowała się padlina, ale pytanie, kto ją tam złożył. Drapieżniki rozdzieliły się, skradając się z największą ostrożnością do miejsca, z którego ta smakowita woń się wydzielała. Guvu zdumiony był, dlaczego wcześniej nie zrobił tego odkrycia, poczuł bowiem zaraz, że zwłoki nie są świeże. Co za śmiałek wkroczył na tereny znaczone wszędzie śladami panów tej ziemi? Długi pomruk towarzysza oznajmił mu, że Kali odnalazł obecność człowieka. Zapewne właściciela zabitej zebry.

Człowiek był dość daleko i wysoko na drzewie. Niema czego się obawiać tego tchórza... Guvu pierwszy zaczął szarpać wnętrzności trupa. Lwy były głodne. Najadłszy się, położyły się na polance, oczekując wschodu słońca i ciepła.

Hulse słuchał niecierpliwie odgłosów uczty, lecz wreszcie, gdy zaświtało, mógł dojrzeć bestje leżące naokoło zdobyczy. Słońce wytoczyło się ponad horyzontem i zalało step jaskrawem światłem. Guvu wstał niedbale i zbliżył się do resztek zebry, aby wyszukać jeszcze kęsek przed odejściem do legowiska. Towarzysze poszli za jego przykładem.

Lwy minęły kwadratowy przedmiot, okryty skórą i ustawiony na dwumetrowych kijach. Guvu dziwił się, ale nie zaniepokoił nawet, kiedy zaczęło coś w nim warczeć i trzaskać.

Słońce przygrzewało mocno, spragnione lwy skierowały się w stronę rzeki. W parę minut później Hulse z tryumfem niósł swój aparat z powrotem do obozu.

— Mam je, Abdi — wołał. — Wspaniały obraz. Aż trzy przy uczcie.

Położył aparat na tylnej desce platformy i poszedł do namiotu umyć się w ciepłej wodzie, którą mu służący przygotował. Abdi stał opodal, słuchając opowiadania o wypadkach ubiegłej nocy, kiedy nagle Hulse urwał i patrzał przed siebie z otwartemi ustami. Olbrzymia lwica skradała się ku obozowi, patrząc na ludzi dzikiemi, żółtemi oczami. Hulse sięgnął po aparat ręczny, wiszący na słupie namiotu.

Laini przetrząsała bez powodzenia step i zarośla. Słońce już wzeszło, kiedy wreszcie skierowała się do swego legowiska, w którem głodne małe oczekiwały na owoc jej łowów. Po drodze natknęła się na obóz. Zapach mięsa rozchodził się naokoło. Zgłodniała lwica schowała się za krzak, aby zobaczyć, co może zdobyć na tych obcych.

Naokoło ogniska, z którego ulatywały drażniące powonienie zapachy, zgromadziło się zawielu ludzi, aby śmiała wszcząć walkę z tak przeważającemi siłami. Przy dużym namiocie stali też ludzie, a między temi dwiema gromadkami było coś dziwnego, z czego wydobywał się zapach zebry. Zebry były ulubionym łupem lwicy.

Laini żwawo podeszła do samochodu, na którym leżał kawał prążkowanej skóry. Niechby jej ktoś teraz przeszkodził!...

Bijąc ogonem po bokach, ogarnęła ich iskrzącym wzrokiem. Wszyscy śledzili jej ruchy w osłupieniu, przerażeni ukazaniem się potężnej bestji. Laini stanęła na tylnych łapach, opierając przednie na desce, która zatrzeszczała pod jej ciężarem. Chwyciła aparat w paszczę i zsunąwszy się na ziemię, popatrzyła chwilę groźnie na ludzi, głośno krzyczących przy ognisku. Poczem długiemi, posuwistemi skokami zniknęła w zaroślach, niosąc łup do legowiska.

— Bwana! Porwała aparat— wykrzyknął Abdi. — Mniejsza z tem — uspokajał go Joe. — Zdejmę drugi film ze lwów w ten sam sposób, jak pierwszy. Zato spójrz tylko na to. — Podsunął aparat pod nos Abdiemu. — Czyś widział kiedy obraz lwicy napadającej w dzień biały na obóz i porywającej aparat filmowy.

Dobiegłszy do jaskini z oryginalnym swoim ciężarem, Laini upuściła go, aby chwycić kawał mięsa zebry, przyniesiony tu przez małżonka jej dla rodziny. Nieco później rozłupała aparat dla swoich małych, ale lwiątkom nie smakowały zębate kółka i celuloid.

Przeł. W. P.

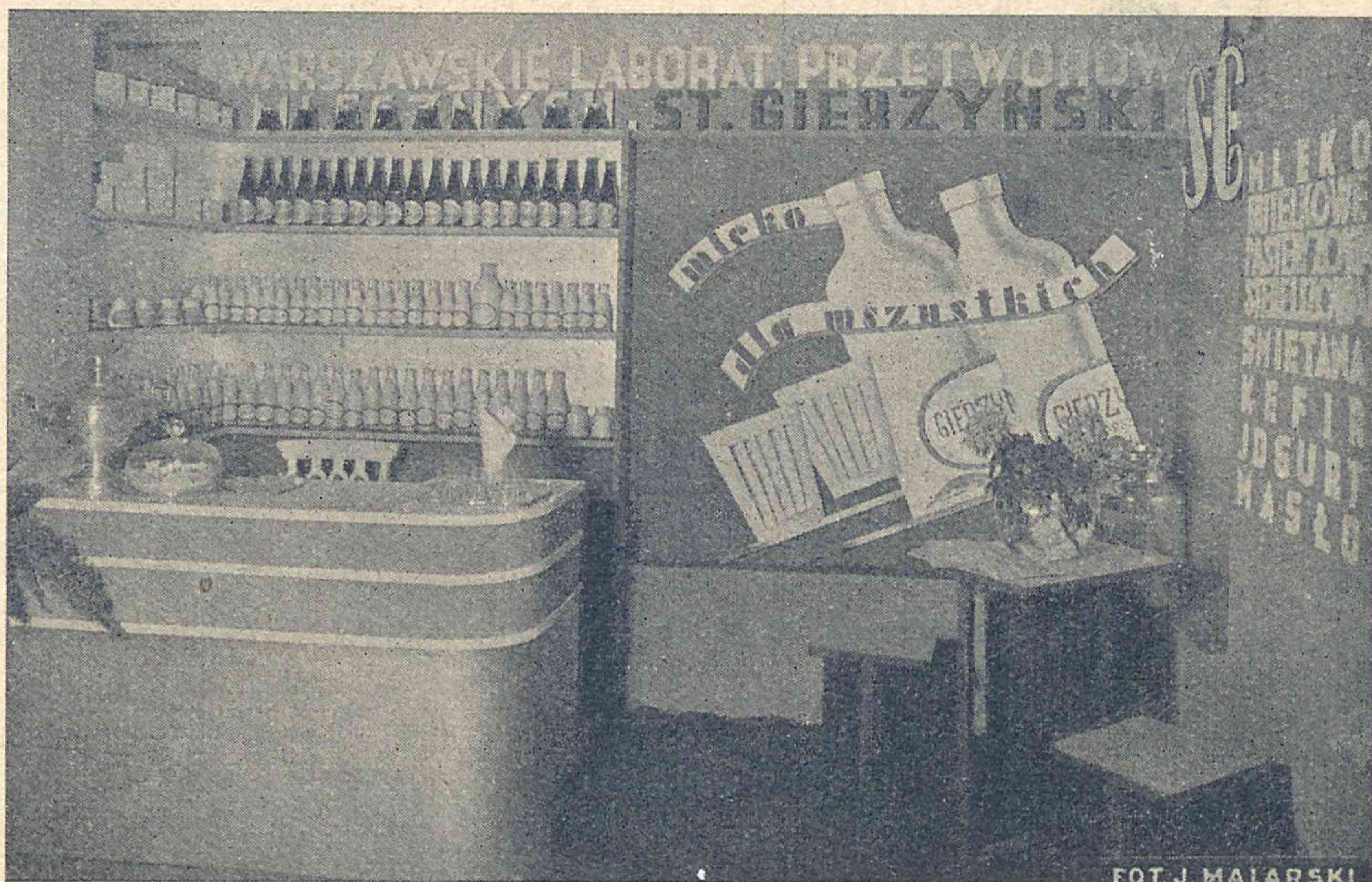
Z WYSTAWY „MLEKO DLA WSZYSTKICH“

Laboratorjum Przetworów Mlecznych St. Gierzyński

Jednym z poważniejszych dostawców mleka i przetworów mlecznych w stolicy jest bezsprzecznie firma ST. GIERZYŃSKI, przy ul. B. Pierackiego 18.

Znakomity kefir, jogurt, śmietana kremowa, krem do ubicia, masło, mleko i śmietanka homogeninowana i sterylizowana wyrobu St. Gierzyńskiego mają już w stolicy ustaloną sławę.

Nowoczesne sposoby przetwarzania oraz fachowe kierownictwo składają się na to, że przy większych dostawach do szkół, szpitali oraz do domów, firma St. Gierzyński jest stale wyróżniana. W końcu października firma otwiera własny nowoczesny sklep nabiałowy przy ul. Br. Pierackiego 18.



Stoisko Lab. Przetw. Mlecznych St. Gierzyński



Stoisko fabryki naczyń mleczarskich K. Miller.

Fabryka Naczyń Mleczarskich K. Miller

W dziedzinie aprowizacji miast, zwłaszcza wielkich, mleko jest jednym z podstawowych artykułów, niezbędnych dla utrzymania w zdrowiu zarówno dorosłych i dzieci.

Drogę od producenta do konsumenta, mleko odbywa w specjalnych naczyniach, których jakość i czystość decyduje o gatunku i dobroci mleka.

Zgórą 50 lat istniejąca fabryka K. MILLERA w Warszawie, Belwederska 5, coraz to rozszerzana i ulepszana, wytwarza najlepsze bańki i wszelkie naczynia mleczarskie do przewożenia i przechowywania mleka. Bańki te i naczynia wykonywane są z blachy żelaznej, cynowanej angielską cyną Straits'a, gwarantują możność zachowania jaknajdalej idącej czystości.

Fabryka serów „Elka“

Efektowne stoisko firmy L. KRIEG w Tiegenhofie pod Gdańskiem zwraca uwagę zwiedzających dalekim od szablonu układem eksponatów i gustownymi rysunkami, według projektu pp. J. Strancmana i Andr'y. Dobrze pomyślane oświetlenie elektryczne, ukryte za dekoracjami, roztacza łagodne i cieniowane światło.

Firma L. Krieg jest znaną w całej Polsce wytwórnią serów, rozpowszechnionych pod marką „Elka“, którym wysoką jakość zapewnia wybitne doświadczenie fachowe, gdyż firma egzystuje od roku 1874.



Stoisko firmy L. Krieg w Tiegenhofie



Stoisko zakładu kefirowego i przetworów mlecznych L. Kasiński

Stoisko mleczarni parowej „Lubraniec"

Mleczarnia parowa „Lubraniec"

Każda pani domu, prawdziwie dbała o zdrowie domowników, dobrze zna markę „Lubraniec", jaką cechuje swe wyborowe masło pasteryzowane i znakomite sery mleczarnia „Lubraniec" w Lubrańcu, pow. Włocławskiego. Masło lubranieckie uchodzi za najlepsze w Warszawie, a sery: jak litewski, tylżycki, trapistów, „Gouda", holenderski oraz serki śmietankowe cieszą się zupełnie zrozumiałem powodzeniem, gdyż były już niejednokrotnie nagradzane medalami i dyplomami uznania. Przedstawicielstwo na Warszawę posiada Jan Mielnicki. Hurt i detal znajduje się przy ul. Kruczej 46, tel. 9-90-87, a sklep detaliczny przy ul. Złotej 35.

Kefir, Jogurt, mleko, śmietanka

Kefir znają górale kaukascy od najdawniejszych czasów, nazywając go „cudownym darem Allaha".

Od nich przejął świat cały ten doskonały środek, stosując go z nadzwyczajnem powodzeniem w chorobach dzieci skrofulicznych, przy anemji, chorobach przewodu pokarmowego, żołądka, kiszek, chorobach nerwowych, chorobach płuc i dróg oddechowych i w okresie rekonwalescencji.

Te iście cudowne własności, dzięki którym miljony chorych odzyskało utracone zdrowie, posiada kefir chlubnie znanego w stolicy zakładu kefirowego i pracowni przetworów mlecznych Mag. L. Kasińskiego (daw. K. Życki) w Warszawie ul. Szpitalna 6.

Pozatem z artykułów specjalnych w zakładach wyrabiany jest Jogurt (mleko bułgarskie), który posiada również wysokie własności odżywcze i lecznicze, szczególnie w chorobach przewodu pokarmowego.

WITOLD BOEHM. Zwalczanie przedwczesnego starzenia się i jak osiągnąć wiosnę urody do późnej starości. 1934 r.; str. 205 i 11 il. tablic. Główne składy: Warszawa — 1) Dom Książki Polskiej, 2) Gebethner & Wolff, 3) D. Zalcsztajn, Zł. 3.—.

W pouczającej tej książce, obliczonej na uświadomienie ogółu w piekącej kwestji racjonalnego życia, autor — oparłszy treść wydawnictwa na owocach ścisłej, doświadczalnej wiedzy — stara się wykazać, że współczesny człowiek nie dosięga owego sędziwego wieku, jaki przeznaczony mu jest według praw przyrody. Ludy pierwotne nie miały wprawdzie zrozumienia dla higjeny życia, jednakowoż, kierując się instynktem, w epoce zaś starożytnej intuicją, żyły nieporównanie dłużej, aniżeli dzisiejszy człowiek. Cywilizacja bowiem zmieniła gruntownie tryb życia nowożytnego człowieka; do zmienionych przez nią warunków niełatwo mogą się przystosować komórki naszego organizmu, skutkiem czego wyczerpują się one przedwcześnie.

Z wysoce ciekawych rozpraw w książce *Boehma* dowiadujemy się, jaką drogą kroczyć winniśmy ku krzepkiej długowiecznej starości, przy zachowaniu urody po najdłuższe lata.

Starannie dobrane tabele i ilustracje dopełniają w sposób popularno-naukowy treści znakomitej pracy *Boehma.*

Książka *Boehma* zasługuje na najszersze rozpowszechnienie, ponieważ rozwiązuje problem przedłużania życia i zachowania urody.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od redakcji.

P. Jadwidze Mier. z Kępna. Przy suchej i łuszczącej się skórze, jaką ma Pani, znakomicie uelastyczni cerę i ochroni od pękania Krem Ziołowy „Antiba", który wcierać należy potrosze w miarę potrzeby w ciągu dnia, jeżeli zaś jest to niemożliwe — to na noc. Krem Ziołowy zawiera naturalne składniki ziół aromatycznych, a przygotowany jest na czystej lanolinie i olejach roślinnych. Mycie twarzy co chwila jest niemożliwe. Radzimy do zmywania i odświeżania twarzy używać Lotion Tonique „Antiba", który znakomicie oczyszcza i wybiela cerę.

P. Lucjanowi K. z Warszawy. Radzimy do codziennego pielęgnowania włosów stosować płyn „Vegetal" Antiba, który wzmacnia komórki włosowe i ułatwia układanie włosów.

P. Neli M. z Warszawy. Tylko troskliwe i regularne pielęgnowanie jamy ustnej może Pani dopomóc. Dentysta musi usunąć większe naloty kamienia nazębnego. O ile emalja nie jest uszkodzona, stałe trzykrotne mycie zębów pastą „Dentosan" w ciągu dnia wybieli Pani zęby. Dziąsła wzmocnią się przez płukanie wodą z kilkoma kroplami eliksiru „Dentosan".

Anegdoty teatralne

W komedji Caillaveta i Flersa w teatrze Letnim w Warszawie statystował uczeń szkoły dramatycznej, Grodzki. W roli socjalisty francuskiego na pokojach prezydenta Francji miał zachowywać się z nonszalancją i wyzywająco wobec dygnitarzy państwowych i z dyplomacji zagranicznej.

Na głowie miał perukę o sterczącej czuprynie. I tak jakoś rzucał głową na wszystkie strony, niby znarowiony koń, aż podpalił sobie perukę od kandelabra, stojącego za nim. Włosy na peruce buchnęły w jednej chwili metrowej wysokości płomieniem. W tym momencie, stojący po przeciwnej stronie sceny artysta, Stanisław Jaszewski, rzucił się w kierunku pożaru na głowie i rękami stłumił ogień.

Grodzki, który w pierwszej sekundzie nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, opowiadał potem, iż myślał, że Jaszewski nagle na scenie zwarjował i dostał furji, bijąc go po głowie przy otwartej kurtynie.

⁂

Dyrektor teatru „Nowości" i „Letniego" w Warszawie miał swoje sympatje i antypatje, z któremi się nie ukrywał.

Janusz, artysta teatru „Rozmaitości", po pewnem niedwuznacznem powiedzeniu dyrektora Śliwińskiego spytał go:

— Dlaczego dyrektor mnie tak nienawidzi?

Śliwiński na to:

— Ach, panie, ja i siebie nienawidzę...

Janusz robi uwagę:

— No, tak... Siebie to ma pan za co nienawidzieć. Ale za co mnie?

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

„CYRULIK SEWILSKI" ROSSINI'EGO TRANSMITOWANY Z TURYNU
czwartek — 20.35.

„Gdy zadzwonią przy piosence mandoliny"
piątek — 15.45.

Aleksander Brachocki
piątek — 20.15.

„Wieś w literaturze bolszewickiej"
sobota — 21.45.

„Wieczór poezji ukraińskiej"
sobota — 22.30.

„W gościnie u K. O. P."
sobota — 18.45.

„Horsztyński"
w Teatrze Wyobraźni
niedziela — 18.00.

„W ojczyźnie Napoleona"
poniedziałek — 19.30.

Pierwszy koncert historyczny muzyki polskiej
poniedziałek — 21.00.

„Chłopi w pochodzie na Parnas"
wtorek — 18.45.

„Baron cygański" — operetka
wtorek — 20.00.

Józef Turczyński
środa — 21.00.

„Katastrofa G. 33"
w Teatrze Wyobraźni
czwartek — 17.00.

Jaracz słucha samego siebie

Znakomity artysta Stefan Jaracz bezpośrednio po słuchowisku radjowem „Hamlet", w którem występował w roli tytułowej, przeżywał w studjo dość niezwykłą przygodę.

„Hamlet" został bez wiedzy aktorów nagrany na aparat Stilla. Po audycji poproszono uczestników słuchowiska, aby wysłuchali odegranej przez siebie przed chwilą sztuki.

Wrażenie było wstrząsające. Świadkowie nie mogli odżałować, że znakomitego aktora nie chwycono w tym momencie na taśmę filmową. Mistrz sceny polskiej siedział jak oszołomiony, słuchając po raz pierwszy siebie samego. Mimika oddawała z całą wyrazistością napór myśli krytycznej i fale niezwykłego wzruszenia. Po ukończeniu tego niezwykłego seansu Jaracz powiedział, że nigdy jeszcze nie był na tak trudnym egzaminie. Dzięki aparaturze Polskiego Radja poddał siebie samego egzaminowi przed najtrudniejszą komisją, przed sobą samym.

„Teraz już wiem — jak należy grać", oświadczył na końcu.

Objektywnie przyznać należy, że przed sztuką aktorską nowy aparat Polskiego Radja otwiera nowe możliwości, daje bowiem możność każdemu wysłuchania swej gry, a temsamem skontrolowania wszystkich jej zalet i błędów. Naogół nikomu ze słuchających swego głosu — głos ten nie podoba się.

TYDZIEŃ SZKOŁY

(2 — 8 października 1934).

Po odzyskaniu niepodległości Państwo Polskie równą troskę poświęciło organizacji armji, jak i oświaty powszechnej, zdając sobie dokładnie sprawę, że są to dwa główne filary każdego państwa. Stąd już w dniu 7 lutego 1919 r. wydał Marszałek Józef Piłsudski jako Naczelnik Państwa dekret o obowiązku szkolnym, zgodnie z którym nauka w zakresie szkoły powszechnej jest w Polsce obowiązkowa i obowiązek szkolny, t. j. obowiązek pobierania nauki na poziomie szkoły powszechnej przez każde dziecko, trwa lat siedem, z czem łączy się organizacja siedmioletniej szkoły powszechnej. Podane powyżej zasady weszły również w postanowienia uchwalonej przez Sejm ustawy o ustroju szkolnictwa z 11 marca 1932 r.

Opierając się o powyższe przepisy a jeszcze więcej o pełne zrozumienie wśród społeczeństwa wartości szkoły i oświaty, dostarczały powołane do tego władze koniecznych środków, przedewszystkiem potrzebnej ilości nauczycieli oraz izb szkolnych. Dzięki temu wzrastała w Polsce powszechność nauczania, a równocześnie zmniejszały się braki powstałe w okresie niewoli. Gdy bowiem w r. szkolnym 1922/23 z pośród pozostających w wieku obowiązku szkolnego dzieci pobierało naukę tylko 68,9%, to znaczy niedużo więcej, niż dwie trzecie ogólnej ilości tych dzieci, czyli że niemal co trzecie dziecko obowiązane do nauki było pozbawione tej nauki, w r. szkolnym 1928/29 korzystało z tej nauki już 96,4% dzieci, czyli, że na sto dzieci nie uczyło się tylko niespełna czworo dzieci.

Sprawa realizacji powszechnego nauczania pogorszyła się jednak, gdy od r. szk. 1928/29 rozpoczął się szybki wzrost liczby dzieci w wieku szkolnym (roczniki powojenne) od 3.706.000 w r. szk. 1928/29 do 4.275.000 w r. szk. 1930/31, a do 5.324.000 w bieżącym r. szk. 1934/35.

Temu wzmożonemu przyrostowi liczby dzieci nie towarzyszył z powodu zwiększających się trudności gospodarczych równoległy wzrost liczby etatów nauczycielskich, aczkolwiek władze szkolne czyniły i czynią wszelkie możliwe wysiłki, aby mimo braku potrzebnych etatów objąć nauczaniem możliwie jak największą liczbę dzieci.

Sytuację pogarsza zależny również ściśle od stosunków gospodarczych brak odpowiedniej ilości izb i budynków szkolnych, potrzebnych na pomieszczenie tak wielkiej liczby dzieci. I tu bowiem, podobnie jak w dziedzinie zapotrzebowania sił nauczycielskich, przyrost nowych izb szkolnych pozostał znacznie w tyle poza przyrostem dzieci w wieku szkolnym.

Przyrost izb lekcyjnych w ostatnich latach ustał niemal zupełnie, a stan ten pogarsza jeszcze okoliczność, że znacznie więcej niż 1/3 ogólnej ilości izb mieści się w budynkach wynajętych, a więc wyjątkowo tylko dość obszernych, choć i nie wszystkie izby w budynkach własnych są dość wielkie, skoro mamy jeszcze w Polsce około 27.000 izb o powierzchni podłogi poniżej 40 m².

Wtym stanie wielką rolę ma do spełnienia możliwie intensywna akcja budowy publicznych szkół powszechnych, wymagająca jednak wielkich funduszów. Obowiązane na podstawie ustawy z dnia 17 lutego 1922 r. o budowie publicznych szkół powszechnych do dostarczenia budynków szkolnych samorządy terytorjalne nie mogą z powodu powszechnie znanego katastrofalnego stanu swych funduszów z obowiązków tych się wywiązać, wskutek czego, jak to widać z podanej powyżej tabeli, budownictwo szkolne w ostatnich latach prawie że zamarło. Nie była zatem poza sporadycznemi wypadkami możliwa ani wymiana izb nieodpowiednich na lepsze ani budowa izb nowych, koniecznych ze względu na tak duży przyrost dzieci w wieku obowiązku szkolnego.

Dopiero ubiegły rok szkolny 1933/34 stał się punktem zwrotnym w tej dziedzinie. Oto powstałe w tym roku z inicjatywy kilku jednostek Towarzystwo Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, na którego czele stanął Pan Marszałek Senatu Władysław Raczkiewicz, zdołało dzięki ofiarności najszerszych warstw społeczeństwa, a przy wydatnym współudziale nauczycielstwa, zebrać w ciągu niespełna jednego roku i to ciężkiego roku kryzysowego przeszło 2 miljony pięćset tysięcy złotych, które przeznaczone jako zasiłki lub pożyczki na budowę publicznych szkół powszechnych przyczyniły się w przeważającej mierze do obudzenia i organizacji bieżącego sezonu budowlanego 1934 w dziedzinie budownictwa szkolnego. Oto zestawienie ilości izb lekcyjnych, wykończonych i będących jeszcze w budowie, finansowanych całkowicie lub częściowo z funduszów Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych (z liczbą uczniów, którzy znajdą w nich pomieszczenie) oraz suma wydatkowana na ten cel przez Towarzystwo:

L. p	Okrąg szkolny	Liczba izb lekcyjnych	Liczba uczniów, którzy znajdą w nich pomieszczenie	Pożyczki i zasiłki udzielone przez Tow. P. B. P. S. P. w złotych
1	Brzeski	184	11.040	2.550.930
2	Krakowski	317	19.020	
3	Lubelski	200	12.000	
4	Lwowski	218	13.080	
5	Łucki	182	10.920	
6	Poznański	53	3.180	
7	Warszawski	165	9.900	
8	Wileński	166	9.960	
	Razem	1.485	89 100	2.550.930

Wyniki jednorocznej działalności Towarzystwa staną się tem wyraźniejsze, jeśli się zważy, że w okresie dobrej konjunktury gospodarczej Państwa i społeczeństwa w latach 1925/6—1930/31 przybywało w Polsce przy wydatnej pomocy rządowej rocznie przeciętnie 1595 izb lekcyjnych, gdy w bieżącym roku głębokiego kryzysu gospodarczego — bez pomocy rządowej — dzięki inicjatywie Towarzystwa przybywa niewiele mniej, bo 1485 izb lekcyjnych, nie licząc oczywiście całego szeregu budowanych razem z niemi izb i lokali pomocniczych, potrzebnych w szkole. Również i ilość uczniów, którzy znajdą pomieszczenie w nowych izbach lekcyjnych, przewyższy nietylko podaną w tabelce cyfrę, ale przekroczy niewątpliwie znacznie nawet 100.000, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, iż w wielu z tych izb będzie się odbywać nauka na dwie zmiany (szkoły niższego stopnia).

Nietylko jednak nauczyciele i izby lekcyjne są potrzebne dla normalnej pracy szkolnej, niezbędne są bowiem jeszcze sprzęty, podręczniki i pomoce szkolne, na który to cel wymienione T-wo wydało w pierwszym roku swej działalności 61.000 zł. (w tem Śląsk), przyczyniając się do prowadzenia pracy szkolnej tam, gdzie bez tej pomocy byłaby ona niemożliwą.

Ten nadzwyczajnie pomyślny plon jednorocznego dopiero działania Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych, wymagający oczywiście w stosunku do rosnących potrzeb powszechnego nauczania — uwielokrotnienia, daje zarazem podstawę do żywienia nadziei, że społeczeństwo, widząc we wspomninaych owocach pracy T-wa rękojmię właściwego użycia składanych ofiar i rozumiejąc ważność i wartość jego celów, poprze je z jeszcze większą, niż dotychczas, życzliwością.

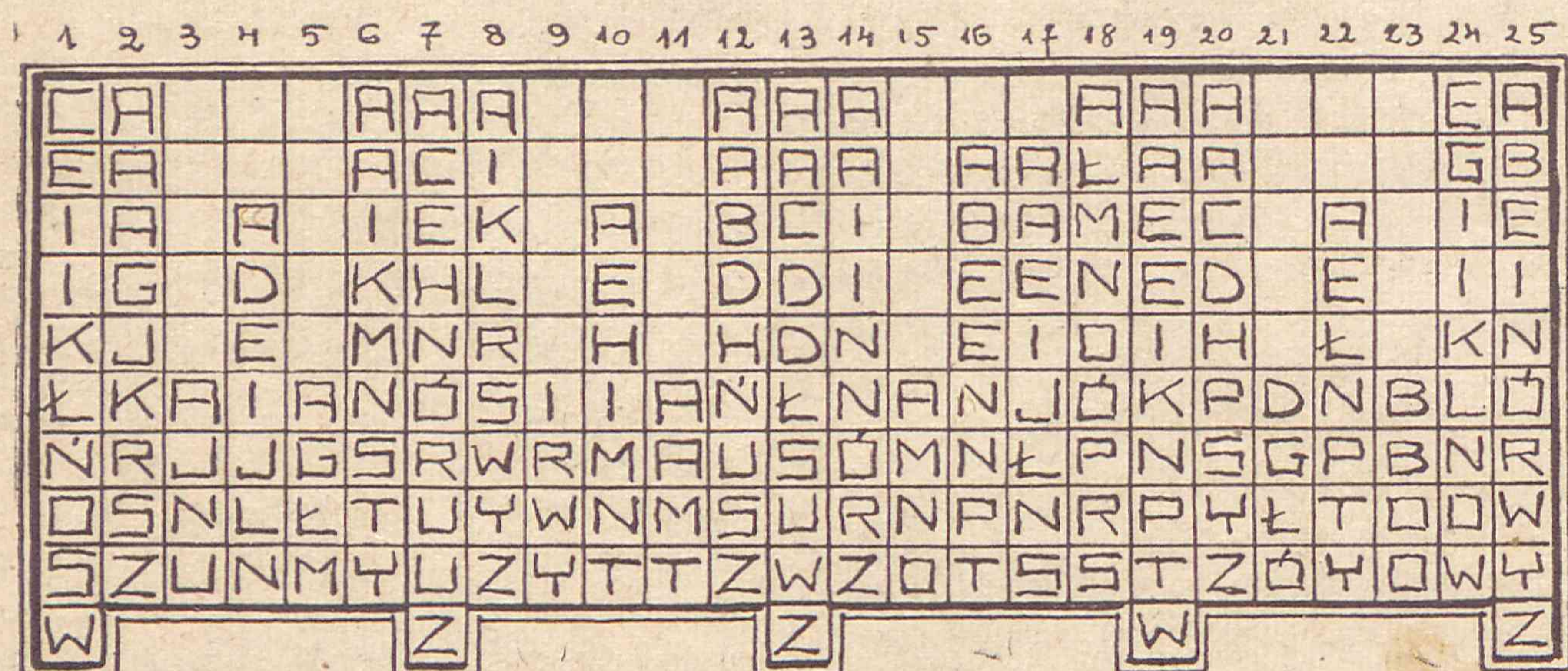


ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 85 (376) Zadanie literackie

Ułożył Czesław Kozłowski

(Za rozwiązanie 15 punktów)



Poprzestawiać litery w rządkach pionowych w ten sposób, aby dały tytuły utworów podanych pisarzy. Środkowy rząd poziomy da imię i nazwisko znanego polskiego powieściopisarza. Puste kratki odpowiednio pozostawione w środku figury dadzą tytuł utworu tegoż pisarza, a pierwsze litery 10-literowych wyrazów jego pseudonim.

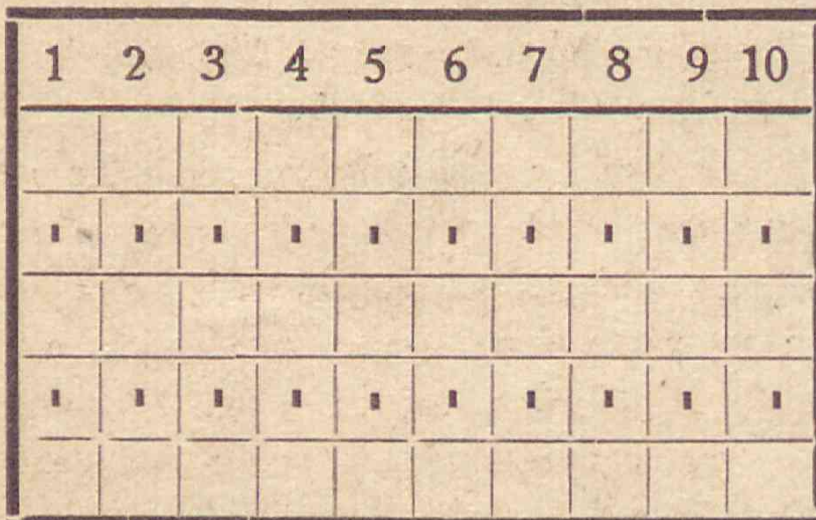
A U T O R Z Y:

1. H. Andersen (2 utwory)
2. B. gen. Grąbczewski
3. J. Weyssenhoff
4. A. Gruszecki
5. M. Gawalewicz
6. L. Delarue Mardrus
7a. H. Duvernois
7b. K. Hamsun
8. A. Krechowiecki
9. H. Sienkiewicz
10. J. Weyssenhoff
11. M. Rodziewiczówna
12. L. Rygier
13. E. Wallace
14. A. Daudet
15. J. Łada
16. Al. Fredro
17a. P. Adam
17b. F. Barclay
18. F. Jabłczyński
19a. P. Bourget
19b. K. Undset
20. M. Guranowski
21. K. Hamsun
22. Wł. Orkan
23. J. Korczak
24. P. Jaxa Bykowski
25. K. Łozińska.

№ 87 (379) Łamigłówka

Ułożył Jan Gabrysiak

(Za rozwiązanie 3 punkty)



W daną figurę należy wpisać 10 pięcioliterowych wyrazów pionowych o podanem znaczeniu. Rzędy poziome: drugi i czwarty dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1) Tracić na wartości, schodzić na psy, 2) Państwo w Europie, 3) Rodzaj tkanki organicznej, 4) Garda u miecza, 5) Zaleta duchowa, 6) Góry w Europie, 7) Posiedzenia sądu przysięgłych we Francji, 8) Część toru kolejowego, 9) Lawa, bursztyn czarny, 10) Frendzla.

№ 88 (377) Przestawianka

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 5 punktów)

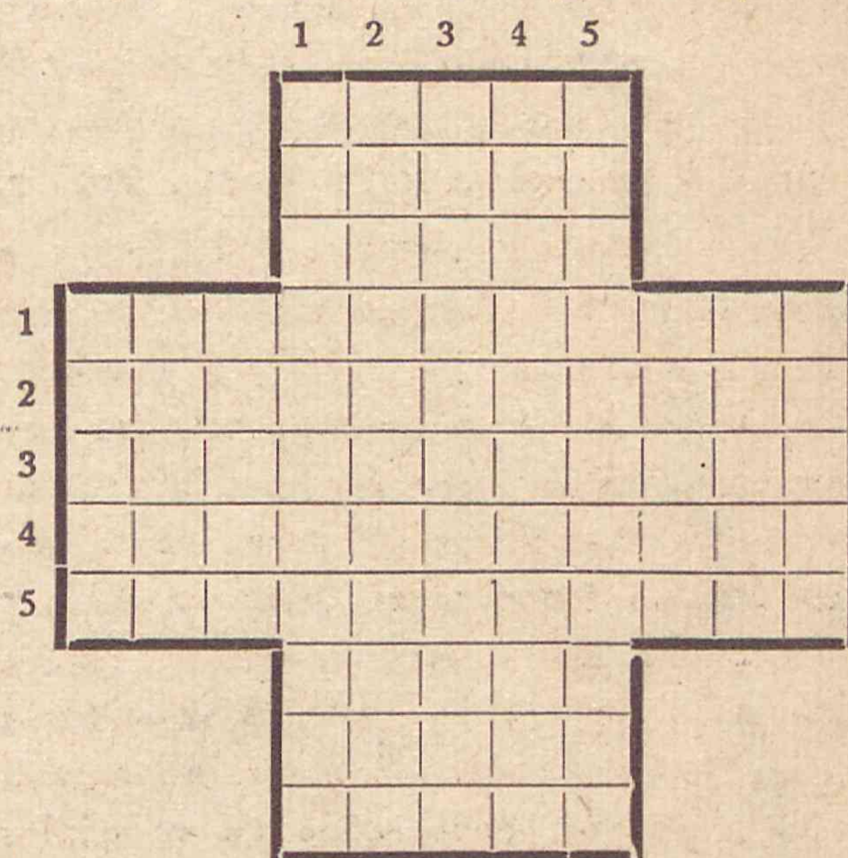
Z każdej trójki niżej podanych wyrazów należy, przez odpowiednie przestawienie liter, utworzyć nowy wyraz (wszystkich wyrazów 13). Początkowe litery nowoutworzonych wyrazów, czytane od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

1. FRYGA + JOPY + FLOTA
2. AU + RYGA + IDUN
3. TALJA + GORS + NICA
4. OKO + DO + PLED
5. YUCCA + DYL + JAD
6. MONZ + KONIN + FROM
7. CJAN + INNEJ + KONEW
8. FAJRANT + MOCNE + KISTA
9. MRÓZ + OŚNIK + DOREMIS
10. TA + FIKCJA + WIRY
11. RAN + TYTUS + WIE
12. TAO + LEGJA + EOL
13. DR + LUCYNA + STACJA.

№ 89 (378) Krzyż magiczny

Ułożył Maciej z Przedborza

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W daną figurę należy wpisać 5 jedenastoliterowych wyrazów o podanem znaczeniu, czytanych tak pionowo, jak i poziomo.

Znaczenie wyrazów:

1) Teorja poznania, 2) Nauka rządzenia krajem, 3) Uczestnik protestu publicznego, 4) Znany dziennikarz warszawski (wspak), 5) Łapki na ptaki, samołówki.

№ 90 (380) Metamorfozy

(Za rozwiązanie 3 punkty)

W zdaniach:

1) BANDYTA Z WYKI KAZIKA, (5 wyrazów)
2) DYG CEPTYKA NIE UCHODZI (4 wyrazy)
3) ZEWSZĄD NA CEGIELNI UTOCZYCIE ROGOŻE (8 wyrazów), —

poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstały trzy znane przysłowia.

„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
K O N T O P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P